Nr. 22 (1222). Warszawa, 15 (28) Maja 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

„Proces rozkładu.“

Tegoroczne mowy cesarza Józefa Franciszka i p. Gołuchowskiego w delegacyach obudzały tem większą ciekawość z im większem naprężeniem wyobraźni, wznoszącej już pałacyki z kart, przewidywano zupełne w nich zamilczenie o trójprzymierzu. Wieszczbiarstwo zbankrutowało: P. Gołuchowski w głównej swej mowie, z d. 16 b. m., zaręczył, że stosunki monarchii są świetne, nietylko ze „sprzymierzeńcami,“ ale i ze wszystkiemi innemi mocarstwami. Obaj przedstawiciele wspólnego rządu zapewnili o skuteczności porozumienia z Rosyą względem półwyspu bałkańskiego. Zadanie obu tych mocarstw minister spraw zagranicznych przedstawił jako włożone na nie przez Europę. Reformy już rozpoczęte wejdą całkowicie w życie; są one i niezbędnie potrzebne i praktycznie wykonalne. Żywsze tempo w ich urzeczywistnianiu zależy od dobrej woli Turcyi i tylko zła jej wola mogłaby je unicestwić; jest wszakże nadzieja, że rząd sułtana Jegomości zaniecha dalszego „stawiania przeszkód“ i we własnym swoim interesie z obu państwami, kierującemi polityką uspokojenia na półwyspie Bałkańskim, szczerze współdziałać będzie.

Na dwa dni przed tą mową odbył się już zjazd księcia Ferdynanda z królem Piotrem w Niszu. Nie p. Gołuchowski, nie cesarz Franciszek Józef go zapoczątkował; sprężyny dyplomatyczne zjazdu jeszcze się przed wzrokiem ukrywają i nie prędzej wykryte będą, aż się spełni ta rzeczywistość, dla której były przeznaczone. Cokolwiek w Niszu w zasadzie postanowiono, nie działano bez opowiedzenia się dyplomacyi i pozwolenia od niej. Ze wszystkich domysłów, kształtujących tajemne rokowania w tę lub ową postać, najpewniejsze jest porozumienie się co do granic wzajemnych obu narodowości, które na gruncie macedońskim stałą, zwłaszcza w rogu północno-zachodnim historycznej prowincyi, toczą od lat dwudziestu kilku ustawiczne spory o moje i twoje, o gminę, szkołę, kościół, język. Podzielono zapewne pomiędzy siebie obszar sporny, a ściślej mówiąc, Bułgarya, w swoich dążnościach wielkobułgarskich, trzymająca ciągle w rękach cugle powstania, które choć w tej chwili nie wybucha nazewnątrz, jednak nie przestaje nurtować umysłów bułgarskich, wydzieliła Serbom pewne terytoryum, pod względem narodowym bez krzywdy dla Bułgarów mogące przejść w stan uprawnionego już posiadania serbskiego.

Po takiem wydzieleniu z całości różnojęzycznej i politycznie różnowyznaniowej mogą Bułgarowie, będący i przez liczbę swą i przez energię głównym żywiołem ruchu na półwyspie, albo cicho siedzieć, albo rwać się do dynamitów i karabinów, albo wreszcie podjąć poważną walkę z Turcyą w celu wyzwolenia braci — zawsze zgodnie z Serbią, bez rozdzierających sporów i nawet z widokiem współdziałania. O tem, co najprawdopodobniej jako podstawę dla spokojnej lub niespokojnej, ale w każdym razie niedalekiej przyszłości w Niszu wytworzyć musiano, myślał dobrze i p. Gołuchowski, ale mu tej roboty, tak świeżej, tajemnicą jeszcze okrytej, dotykać w wyjaśnieniach swoich nie wypadało; tem bardziej, że nie on na to kazanie bułgarsko-serbskie dzwonił. Zjazd wszakże mógł się mimo tę powściągliwość odezwać w wyjaśnieniach po zwyczajowem *expose* dawanych delegatów, i rzeczywiście się odezwał. Tylko taką zewnętrzną podnietą wytłomaczyć sobie można to *memento mori*, którem minister przypomniał Turcyi jej los nieodwrócony na posiedzeniu wybranej przez delegacyę austryacką komisyi do spraw zagranicznych, d. 18 b. m.

„Zagadnienie wschodnie“ — powiedział p. Gołuchowski — zbliża się już do swego rozwiązania. Jak wszędzie tak i tu dany moment tem mniej niebezpieczeństw przedstawiać musi, im bardziej odbywać się będzie stopniami, a nie spełni się odrazu w jednej katastrofie. Jeżeli Turcya pojmuje własny swój interes i jeżeli istotnie wprowadzi poprawę do wewnętrznych swych stosunków, to nie widzę, dlaczegoby ten proces rozkładu (Auflösungsprocess) nie miał trwać jeszcze przez czas długi.“ Było to jasne a mocne: i nic też dziwnego, że się sułtan rozgniewał, wzburzył — i pomyślał nawet o jakiemś wystąpieniu w Wiedniu; nie byłoby też nic dziwnego, gdyby już nie sam tylko sułtan, ale wszyscy Turcy jak są powiedzieli sobie, że na wprowadzeniu reform w Macedonii nie mają nic do zyskania, jeśli zyskiem całym ma być tylko zwłoka przed ostatecznym skonem, który im dyplomacya europejska głośno już, urzędownie, w dogmat kształtuje. Nie p. Gołuchowski ten dogmat wynalazł; znano go już nad Newą w XVIII w.; Cesarzowa Katarzyna marzyła o koronie bizantyjskiej dla swego wnuka, W. Ks. Konstantego; Platon Zubow wprowadził go w kształtach geograficznych na swoją mapę przetworzonej Europy; Cesarz Mikołaj I miał go ciągle przed oczyma; sama Europa przez cały wiek XIX w upadku Turcyi widziała groźną a nawet nieodwróconą konieczność; i dziś jeszcze nikt w całej Europie w żywotność polityczną Turcyi nie wierzy:

a jednak mimo to wszystko ów „proces rozkładu,“ wymówiony w chwili zachwalania i narzucania reform, musiał uderzyć nietylko sułtana, nietylko myślących Turków, ale i samą nawet dyplomacyę europejską, która słusznie upatrzyła w nim zapowiedź jakiegoś ostrzejszego tonu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Liczne w ubiegłym tygodniu telegramy gen. Kuropatkina o wywiadach kozackich przed frontem pierwszej armii japońskiej od Fyn-huang-czengu ku północy do Sama-tsy, z zasięgami do Sza-tsy-hangu na zachodzie i Ka-ba-linu na południu — wskazywały takie położenie pojedynczych oddziałów tej armii, że czytelnik może z nich wyprowadzić jeden tylko wniosek, ten mianowicie, iż Japończycy posuwali się nadzwyczaj powolnie, a wreszcie zupełnie ruch naprzód wstrzymali. Jeżeli wyniki wywiadów odpowiadają rzeczywistości — a przy najlepszem nawet urządzeniu służby wywiadowczej błędu łatwo się dopuścić — to przypuszczać trzeba, że gen. Kuroki napotkał przeszkody nietylko przestrzeniowe, ale także i taktyczne: nietylko drogi są bardzo zmudne, zwłaszcza dla artyleryi może przeklęte, ale i rozstawienie wojska rosyjskiego takie, iż roztropność nakazała generałowi japońskiemu jak najpowolniejsze ruchy w jak największej wzajemnej zależności i ścisłym związku między sobą nietylko pojedynczych dywizyj, ale nawet i batalionów, które przy wzgórzystości kraju i ubóstwie dróg uważać wypada za największe jednostki taktyczne, zdolne niepodzielnie się poruszać.

W ciężkich warunkach wszelka porywczość groziłaby armii japońskiej oskrzydleniem. Zwłaszcza od północo-wschodu, dokąd cichaczem dotrzeć mogłyby siły z Mukdenu, niebezpieczeństwo czyha wciąż na Japończyków, a zagrożenie potęguje się jeszcze słabością sił japońskich pomiędzy stałym lądem a półwyspem Liaotuńskim, pomiędzy Fyn-huang-czengiem i Sza-tsy-hangiem a morzem. Tezy korespondentów-dziennikarzy, nagle poprzebieranych za strategów, nikt nie przyjmie bez dobrotliwego, czy złośliwego uśmiechu: armia japońska nie jest jeszcze rozłupaną przez to, że kozacy ukazali się na południe od Fyn-huang-czengu; ale w każdym razie korpus, który wdarł się z Korei do Mandżuryi, z drugim, który, wylądowawszy w Pi-tsy-uo i dalej na północ, aż do Takuszanu, częścią swych sił posuwać się zaczął ku Kajpingowi, Siujanowi i Sandjar-kanzie, nie ma należytego czucia. Wojska, których po wylądowaniu nie zużyto przeciwko Portowi Artura, były za słabe, aby istotnie wespół z wojskami Kurokiego mogły wytworzyć front należycie rozciągły, sięgający od Siujanu i Takuszanu na południu aż do dalekiego Sama-tsy na północy.

Skutkiem tej słabości sił jest i ostrożność i powolność ruchów, wreszcie zupełne ich powstrzymanie. Obejmując całość dotychczasowych działań, powiedzieć trzeba, że rozprawa nad Jalu była przedwczesną, wylądowanie drugiego korpusu, czy też armii, spóźnione, a wogóle siły wyladowane zbyt szczupłe. Miały one starczyć i na potrzeby teatru wojennego w Mandżuryi i na działania przeciwko Portowi Artura; o niedostateczności ich w pierwszym względzie przekonywa stan rzeczy wyżej zarysowany, o odpowiedniości ich pod drugim względem przekonać może dopiero przyszłość, już niedaleka. Zdaje się, że tutaj, na półwyspie Kuantuńskim, wytknęli sobie Japończycy cel główny wylądowania. Prawdopodobnie dążą oni do zupełnego przecięcia półwyspu w pasie jego najwęższym, jedną linią warowną, któraby ich zabezpieczyła od północy i pozwoliła im swobodnie działać na południe przeciwko wielkiej warowni morskiej. Pas ten przypada pomiędzy Ta-fan-czanem na zachodzie a Talien-uanem na wschodzie. Dla opanowania go Japończycy muszą działać z obu stron od morza, a na lądzie natrzeć od północy; dotychczas bezpośrednich działań jeszcze nie rozpoczęli. Sama warownia jest zupełnie odciętą, ma tylko połączenie telegraficzne z Czyfu. Okręty japońskie ciągle około niej się uwijają.

W dniach 14—16 maja — daty bowiem ciągle są mącone i niepewne — na wodach Portu Artura spotkało flotę japońską wielkie nieszczęście. Okręt „Kasuga“ najechał na drugi, „Iszyno,“ i przeciął go w pół; okręt zaś „Hatsuse“ natknął się na dwie miny rosyjskie, daleko po za obrębem trzymilowym od brzegów, i poszedł na dno. W Tokio żałoba narodowa. Strata wielka.

Trzecia armia japońska zbiera się w Hiroszymie. Zapewne spróbuje wylądowania w zatoce Liao-tuńskiej na większą już skalę, a uzna i widownię mandżurską za potrzebującą gwałtownie wzmocnienia drogą na Takuszan.

Północno-zachodniej Korei nie przestają niepokoić kozacy. Dotychczas niema doniesienia o innym rodzaju broni. Japończycy dla samego utrzymania etapów będą musieli część sił swoich rzucić napowrót za Jalu.

W Europie groźba p. Gołuchowskiego w stronę Turcyi; nowe pogłoski o Nowym Bazarze; upomnienia dane sułtanowi przez p. Zinowjewa; rokowania między Hiszpanią a Francyą o Marokko; wreszcie— wyjazd p. Nisarda, posła francuskiego przy Watykanie, z Rzymu na znak gniewu za ową notę okólną, watykańską. Ostatni ten zatarg jest burzą w szklance wody.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Wsie korejskie, duże i małe, zawsze zrobiły na mnie wrażenie jakichś tymczasowych, dorywczych przytułków ludzi znękanych, spracowanych, spieszących przejść przez życie bez myśli o jutrze, wędrowników niestarających się o wygody, plemion nienawykłych rdzennie do życia osiadłego, dla ktorych dom jest jedynie... kuchnią i sypialnią. Kopulaste, obie strzechy, obleczone od wichrów sieciami słomianych sznurów, tworzą łudzącą nieraz podobiznę do jurt stepowego „surtu,“ szczególniej, gdy je otacza pleciony płot wiklinowy, również podobny do daurskich i solońskich płotów, tylko trochę wyższy. — Płoty takie powszechne są w wioskach nadbrzeżnych, stojących na wiatrowiskach. Na tem jednak kończy się podobizna, gdyż właściwie wioska korejska i chata korejska jest dość wiernem choć zmniejszonem odtworzenia fanzy i wsi chińskiej, jakiemi one po dziś dzień są w uboższych, kresowych posiadłościach chińskich i jakiemi prawdopodobnie były niegdyś w całem państwie.

Zwykle wieś korejska ciągnie się wzdłuż drogi po obu jej stronach i tworzy ulicę pojedynczą prostą i dość ściśle zabudowa-

---

Arne Garborg.

W Stowarzyszeniu młodzieży.

Właściwie stosunki u nas, w Norwegii, z dawien dawna ułożyły się bardzo dobrze, i wszystko mogłoby iść jak najlepiej, gdybyśmy tylko byli, jak należy.

Ale takimi niezawsze jesteśmy, to też bywa, że źle się dzieje. Wtedy szuka się środków zaradczych. Szacowne jakieś pióro odezwie się w *Kuryerze porannym*, inni zacni mężowie roześlą nawoływanie, zbierze się więc, założy stowarzyszenie. Stowarzyszenie rozwija się, kwitnie, a świat źle idzie, jak źle szedł.

Zacni mężowie zauważyli między innemi, że niezawsze tak jest, jak być powinno z młodzieżą, która niekiedy puszcza się na bezdroża. Założyli więc Towarzystwa opieki. Istnieje tedy Stowarzyszenie Młodzieży i Chrześcijańskie Sowarzyszenie chłopców, odbywają się zebrania i zgromadzenia pod różnemi nazwami. Wszystkie te stowarzyszenia kwitną i są błogosławieństwem Bożem, a młodzież schodzi na manowce, jak schodziła.

Pewnej niedzieli, z początkiem czerwca, miała się odbyć popołudniu doroczna uroczystość w ewangielickiem Stowarzyszeniu Młodzieży.

Zarówno „Chmura“ jak „Tyrolczyk“, wybierali się. Chmura zaproponował, abym im towarzyszył. Dobrze ci to zrobi—oświadczył. Tyrolczyk milczał wprawdzie, ale zdawał się być tego samego zdania. Nie byłem przeciwny tej przyjacielskiej radzie; Stowarzyszenie młodzieży ewangielickiej rzeczywiście najbardziej mi odpowiadało.

Przybyłem świeżo do wielkiego miasta i uważano mnie za takiego, jakim byłem w rzeczywistości, to jest bardzo słabo utwierdzonym w wierze. Duch święty począł mnie już czasami nawiedzać, Bogu niechaj będą dzięki za to! ale właściwie upodobania moje i myśli ciążyły do świata, a zwłaszcza szatan trzymał mnie jeszcze mocno w swoich szponach przez moje zamiłowanie do teatru.

Bywałem w nim często, na miejscach po ośmnaście szylingów albo, gdy krucho było, po dawnemu, powtarzałem sobie w duchu, że choćby teatr miał mnie zawieść wprost do piekła, będę tu chodził.

Wiedziałem, że to przecież nie potrwa długo... wcześniej czy później nawrócę się i wejdę na dobrą drogę. Wiedziałem, że światowa rozkosz spokoju mojej duszy dać nie może — słyszałem to tyle razy, a przytem trudno było przewidzieć, jak długo człowiek będzie mógł tak żyć, licząc na cierpliwość Pana Boga. Na cienkiej nitce wisi się ponad otchłanią piekielną, każdej chwili może się nić przerwać i zabawa skończona!

Ale nie należałem do tych, którzy mogą być zbawieni w zwykły sposób. Lekkomyślne miałem usposobienie i płochy umysł; trwoga przed życiem przyszłem nie nawiedzała mnie nigdy: cóż z tego, żem się nawet przyznawał do grzechów, skoro nie czułem skruchy i żalu? Mój największy grzech, występne życie z Ingą Grønlid, był mi drogi i nie moja wina, że się skończył.

Jeżelibym miał być zbawiony to, że się tak wyrażę, musiałoby się stać nie po mojej woli — bez mojej wiedzy. Mnie musiano-by wciągnąć przez ciasną furtkę. Zwabić, wprost uwieść musieliby mnie do Królestwa niebieskiego. Czy też Stowarzyszenie młodzieży potrafi mnie uwieść. Nie zdawało mi się to tak bardzo nieprawdopodobnem. W paragrafach statutu swego mówiło ono o „ognisku domowem“ o „życiu koleżeńskiem“ o „poważnych zadaniach życia“ i „duchu prawdziwie chrześciańskim“ — czegoś takiego potrzebowałem.

Jak na złość tego wieczora dawano „Ma-

ną. Ale są i sioła, nawet wcale duże, bezładnie rozsypane, przez które główny przejazd wije się kapryśnie, tworzy bocznice i załamy. Domy stoją zawsze zwrócone długą ścianą czołową do drogi i mają pod wystawką strzechy nieszeroką przyzbę. Na tej przyzbie lubią Korejczycy letnią porą wysiadywać, obiadować, palić fajeczki. Stąd dwoje małych, papierowych drzwi prowadzi do najlepszej w domu izby, skąd znowu przez podobne drzwiczki w przeciwległej ścianie wyjść można na podwórko. Ale główne wejście wiedzie tam przez wrota, pod obszerną, krytą szopę, gdzie nocują zazwyczaj woły i konie, gdzie stoją wozy, pługi i sprzęt rozmaity. — Do szopy przywiera dom mieszkalny, oramiający podwórko w kształcie litery U: dwa równe i zupełnie do siebie podobne, większe skrzydła łączy w głębi krótka przecznica, gdzie mieści się spiżarnia i składy. Skrzydła frontowe zamieszkują mężczyźni domowi i przyjezdni, skrzydło tylne — kobiety i dzieci.

Pod szopą, tuż u wejścia rozpiera się, wmurowany w nizki piec, ogromny kocioł żelazny albo wielki, mocny garnek, służący do warzenia bobu, osypki i zielska dla bydła. W końcu skrzydła kobiecego, jest urządzona kuchnia, zawsze prawie dość obszerna i obszyta deskami. Czasami porządek się zmienia. W zajazdach kuchnia jest od ulicy i ma okno z okiennicą, odrzucaną we dnie dla wydania obiadów, jak lada. Dymniki obu ognisk przechodzą pod podłogami odpowiednich izb mieszkalnych i ogrzewają je zdołu. Kominów w Korei wcale nie znają, dym nawet w cesarskich pałacach i domach ministrów wychodzi albo wprost na ulicę przez otwór w fundamencie lub odprowadzony jest trochę w górę na wzrost człowieka przez małe kanały, sklecone z kamieni tuż przy ścianie; czasem zamiast nich stoi tam jeden duży albo cała wieżyca dziurawych garnków, ustawionych na sobie. Mimo to pożary zdarzają się rzadko, gdyż większe skry wszystkich więzną w zakrętach poziomych, a mniejsze gasną przy uderzaniu o daszek wylotu. Za to w czasie palenia w szczelinach całego podmurowania błyska czerwonemi żyłami ogień, miga przez szpary potrzaskanej podłogi i dymem wypełnia izby... Wędrownik siedzi niby w klatce, na wielkiem rusztowaniu.

Budować dom zaczynają Korejczycy po chińsku od dachu, wkopują słupy, umieszczają na nich strzechę, a następnie dorabiają ściany z kamienia, z glino-pacu, ze słomy gaoliu nawet z bitej gliny, zależnie od taniości materyału w odpowiedniej okolicy. Widziałem domy murowane z niewypalonej cegły, ale nie widziałem domów drewnianych. Z drzewa budują Korejczycy jedynie bramy świątyń i pałaców oraz małe kapliczki przy drogach. Nazewnątrz ściany budowli rzadko są otynkowane, ale wewnątrz zwykle je gładko równają, bielą, nawet wyklejają taniemi obiciami. — Zamożniejsi wykładają również naoliwionym, mocnym papierem gliniane podłogi izb, które zawsze i wszędzie nawet u najuboższych są prócz tego wysłane z wierzchu matami (dzari). Wchodząc, należy zrzucić obuwie, podobnie jak w mieszkaniach japońskich. Ale mieszkania japońskie są o wiele od korejskich widniejsze i nigdy nie są ogrzewane z dołu.

Wiejskie izby korejskie zawsze są ciemne. Światło dostaje się do nich jedynie przez wązkie drzwi papierowe; rzadko mają w dodatku maleńkie okna. Szyby widziałem jedynie w miastach. Szkło w Korei należy do przedmiotów zbytkownych.

Izby są zwykle wązkie od 2 do $2^1/_2$ metrów szerokości, przy długości trzykroć razy większej; nakrywa je nizki strop, tak iż wysokiego wzrostu Korejczyk musi chodzić w izbie zgarbiony. W mieszkaniach niema żadnych mebli, prócz szaf z rzeczami, znajdujących się zazwyczaj na żeńskiej połowie. Łóżek Korejczycy wcale nie znają i śpią wszyscy na podłodze na matach, nawet zamożni. Czasem w izbie na ścianie wisi obraz w rodzaju japońskich „kakemono,“ bardzo prostackiej roboty lub czerniejse wydłużony napis hieroglifami słynnego wiersza, myśli wzniosłej lub uznanego zdania chińskiej mądrości.

Taką właśnie była chata w wiosce Sö-kiö-don, przed którą zatrzymaliśmy się dobrze już pod wieczór, przebywszy 60 li (4 i pół mili) drogi. Wszystkie chaty wieśniacze są bardzo do siebie podobne. Wybrany dla postoju przez naszego „ma-fu“ dom stał na uboczu, na brzegu głębokiego, skalistego jaru, w którym, skacząc po ogromnych złomach, pieniła się rzeczka. Na przeciwnej stronie ciemniały wysokie, bazaltowe urwiska, ubrane w rdzawe powoje. Wioska Sö-kiö wyciągnęła się opodal, u drogi, wzdłuż kamienistej wyniosłości, niknącej gdzieś w nizko opadłych chmurach.

— Tam przesmyk!.. Przebędziemy go jutro!.. — powiedział mi ton-sa.

Ma-phu zrzucił juki i poprowadził konie do chaty przez drogę. Zacząłem ściągać moje długie, rajtarskie buty i operacya ta niezwłocznie zgromadziła koło mnie małych i dużych widzów. Robili szeptem znaczące uwagi, lecz dostrzegłem rozczarowanie, gdym zrzucił dziwne obuwie a został z nogami. Oczekiwali widocznie, że i te od tułowia odepnę i włożę do worka. Zresztą ci prości chłopi zachowali się wszyscy niezmiernie grzecznie i przyzwoicie. Ponieważ nie było jeszcze ciemno i deszcz przestał padać, zaproponowałem dzieciom, aby mi towarzyszyły w łowach na owady. Dałem im słoiczki i wyłożyłem, co należy robić. Zrozumiały w mgnieniu oka i rozsypały się ze śmiechem wśród głazów. Minąłem marne grzędy wioskowej sałaty, wtulone wśród skalnych okrzesów, i spuściłem się ku rzece. Był to szalony potok, składający się z nieprzerwanego szeregu wodospadów. Nie woda w nim płynęła lecz piana... Huczał, jak piorunowy grzmot przeciągły, przewinięty smoczym zaiste sykiem...

Ze śladów na nadbrzeżnych złomach poznałem, że wzbierał często i wznosił się wysoko na dziesiątki stóp nad swojem łożyskiem. Nie miałem tu co szukać w tej porze jesiennej. Dzieci przyniosły mi kilka osobników i odeszły uszczęśliwione paroma mosiężnymi „czohami.“ Ton-sa z tej racyi oznajmił mi, że jutro opuścimy prowincyę Ham-giön-do (nadbrzeżną, północno-wschodnią) i że nastąpi koniec „czohom.“

— Tam, w prowincyi Kan-uön-do (nabrzeżna, wschodnia, środkowa), zaczną się nikle!... Ta wioska jest pograniczną. Rzeczka zwie się też Sö-kiö i płynie do morza!..— odpowiedział mi na zapytanie.

Niebardzo jednak dowierzałem jego odpowiedziom, gdyż spostrzegłem, że się często w określeniach i nazwach miejscowości plącze, naradza z ma-phu, widocznie nie wie ich dokładnie. Po drugie — podejrzewałem, że często umyślnie zwodził mię, może słuchając wydanych mu tajemnie w Genzanie rozkazów. Po trzecie zauważyłem, że nazwy wielu gór, dolin, potoków nie były ustalone, rozmaici ludzie, pytani po drodze, odpowiadali różnie, co uczyniło

---

ryę Stuart“ *) na dochód pani Gundersen, i wtem się spostrzegł, kiedy menuet Nordraaka **) począł mi brzmieć w uszach i wabić mię. Ale wszystko to, naturalnie, odsuwałem od siebie, skoro miałem myśleć o poważnych sprawach. Właśnie już zacząłem — boć raz przecież zacząć trzeba. W gruncie rzeczy ofiara moja nie była znów tak wielka. Cóż mogła mi pomóc nieskazitelna gra pani Gundersen, skoro muszę mimo to umrzeć? lub cóż za pociechę znaleźć bym mógł w muzyce Nordraaka, gdy mi przyjdzie stanąć na Sądzie.

— Urządziliśmy sobie siestę — jak się wyraził Tyrolczyk — i dobrze nam było. Piliśmy kawę i palili fajki. Poprzez szyby łagodnie przeświecało słońce; przez otwarte na korytarz drzwi dochodziło świeże powietrze. Z ogrodu, przed nami leżącego i z wszystkich ogrodów przedmieścia, z łąk i z lasów, otaczających, płynął na nas silny dech gorącego lata, który nas oszałamiał.

Cisza panowała w naszym pokoju. Tylko osa bzykała, tłukąc się o powałę; zabłąkała się tu z ogrodu i nie mogła znaleźć drogi napowrót.

Drobne, szare promienie pyłków wirowały w słonecznym blasku, to się wznosiły, to opadały i znikały.

W powietrzu panowała senna głusza, skłaniająca do cichych, spokojnych marzeń. Miasto dawało się słyszeć przez drzwi z korytarza, niby odległy jakiś szum — być może nawet, że to było tylko powietrze. Wielka, jasna cisza letnia wytwarzała szczególniejszą ochotę do drzemki.

Leżałem na starym, twardo wysłanym tapczanie i pociągałem z długiej, studenckiej fajki. Statut Stowarzyszenia trzymałem w ręku, ale przestałem czytać. Nie myślałem też o niczem. Tylko od czasu do czasu przemknęła mi przez głowę jakaś senna i płochliwa myśl. Ach, jak dobrze tym, którzy się już nawrócili! Właściwie niema sensu nawracać się w taki śliczny czas. Gadanie! Było też z czem wyjeżdżać! Wymawiać się pogodą — też coś!

Na ukos odemnie, po drugiej stronie stołu siedział Chmura w swoim domowym, szarym kitlu. Zdawał się czytać coś, co leżało przed nim, ale i on właściwie nic nie robił, tylko palił. Wielka, czupurna głowa, jak zwykle, przechylona była na bok, niby jej się marzyła poduszka, a po czerwonej, dobrodusznej, chłopskiej twarzy o małych, zaczerwienionych oczach rozlewał się błogi spokój, bezpośredni skutek rannego nabożeństwa.

Tyrolczyk, wysoki szczupły, o włosach czarnych z granatowym odcieniem i twarzą śniadą, rozciągnął się jak długi w krześle bujającem, palił i czytał „Norweskie misye“. Po chwili podniósł głowę, odłożył dziennik, spojrzał na zegarek i wstał. Man muss sich drappieren — powiedział i zaczął ubierać się powoli i starannie.

A ubrać się umiał Tyrolczyk! Sporo czasu temu poświęcał, ale przynajmniej umiał coś z siebie zrobić — ładny był, jeżeli chciał. Przyczyniał się bardzo do tego czarny, świąteczny garnitur, który posiadał. Dziś wysunie w nim bezwątpienia — pomyślałem. A to samo wprawiało mnie w uroczysty nastrój.

Po chwili przeciągnął się i Chmura. Spojrzał na zegarek i podniósł się z krzesła, mówiąc swym cichym głosem, że wkrótce, zdaje się, trzeba będzie pomyśleć o wyruszeniu. Poszedł pod piec, odstawił fajkę i splunął — musiała być gorzka. Napół zwrócony do mnie, a niby przed siebie powiedział: — jakże więc będzie, myślisz pójść z nami?

Zastanowiłem się. Dziś była widocznie chwila łaski — raz przecież trzeba to zrobić. Więc z cichem pożegnaniem do Maryi Stuart w Szkocyi głośno odpowiedziałem: tak, sądzę... sądzę, że pójdę z wami... także. — Ach to dobrze, to bardzo dobrze — odparł i począł zdejmować z siebie domowy surdut.

Obchód miał się odbyć o godzinie piątej, w domu modlitwy przy ulicy Hausmana; pastor Hermansen miał rozpocząć. Ja, który nie posiadałem nic do przewdzia-

*) Dramat Björnsona.

**) Znakomity, młodo zmarły muzyk.

mię bardzo ostrożnym w notowaniu nazw. Przytaczam obecnie jedynie sprawdzone przez kilka krotne wywiady lub znalezione u innych podróżników. Z zapisanych nazw na dosko nałej mapie japońskiej znalazłem zaledwie kilka, a w ich liczbie nazwę „Szök ki ö-don“ — przekręconą z japońska „Sö-ki o-don.“ Rzeczki w Korei rzadko posiadają jedną nazwę; zwykle mają ich wiele w różnych swych częściach, a biorą je od wiosek, gór, gajów, wąwozów itd. Czy więc rzeczka zwała się istotnie Sö-kiö, jak mi powiedziano, doprawdy nie wiem!?

Znów zaczął mżyć deszcz i zapędził mię do izby. W kuchni obok rozlegały się energiczne głosy i stukanie naczyń: Warzono dla nas wieczerzę. Zajrzałem przez małe okienko z werandy i obaczyłem coś podobnego do ciemnej huty albo odlewni. W obszernej izbie, położonej o wiele niżej od poziomu naszej podłogi, buchało kilka krwawych łun z otworów pieca wielkiego i tak długiego, jak długą była ściana poprzeczna domu. Na piecu widniał rząd wielkich pokryw od kotłów, wmurowanych w ognisko. Buchała z nich para, a koło nich, to niknąc w mocnym cieniu, to zjawiając się w ognistej łunie, uwijały się z warząchwiami w ręku tęgie kobiety w białych szarawarach, białych, szerokich spódnicach, z ciemnemi piersiami, wyglądającemi z pod niezmiernie krótkich, białych kaftaników. Nie powiem, aby te brudne, obwisłe piersi, ręce ciemne, jak sadze i skołtunione na głowach włosy wzbudzały zaufanie do przyrządzanych przez owe niewiasty potraw. Zszedłem do kuchni; gwar rozmów ucichł natychmiast i dostrzegłem zafrasowanie na twarzach zebranych. Nie chowały wprawdzie nagich piersi, lecz odwracały twarze od nieprzyzwoitego cudzoziemca, który odważył się wejść tam, gdzie były obce kobiety. Naga, śniada i gładka, jak bronz polerowany, dziewczynka, skulona u gardzieli pieców, rzucała dalej w ogień garście słomy. Mój troskliwy ton-sa znalazł się natychmiast obok mnie i, półgębkiem, dając mi wyjaśnienia, co do użytku i znaczenia rozmaitych naczyń, starał się mię nieznacznie wyciągnąć z kuchni. Naczynia były przeważnie drewniane i gliniane — ogromne dzieże, garnki nieraz wielkości człowieka. Metalu widziałem mało. Ryż, łazanki, jakieś małe ciastka — wszystko gotowano po chińsku na sitach, pod pokrywami nieustannie kipiących kotłów.

Gdym wrócił do izby, okazała się pełną gryzącego dymu, który przeniknął z dolnych kanałów. Znów więc wyszedłem i udałem się tym razem do chaty przez drogę, gdzie błyskała w dżdżystym zmroku plama czerwonej łuny. Ma-phu wraz z drugim młodym Korejczykiem mieszali drągami w wielkich kotłach gotującą się dla koni mieszankę z bobu, zielska i prosianej słomy. Pod szopą stały konie rozsiodłane, ale z potnikami na grzbietach. Gdym się do nich zbliżył, stuliły uszy, zaczęły wrogo rzucać mordami w moją stronę i kulić do uderzenia zady, jakby starały się podtrzymać ustaloną wśród podróżników opinię, że konie korejskie są małe, ale bardzo złe.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Dary wiosny.

Do najjaśniejszych i najpromienniejszych wyrazów mowy ludzkiej należy — wiosna. Wszystko co młode, co świeże, co rwie się do rozwoju, wszystko to w umyśle naszym łączy się z obrazem wiosny — doby budzenia się natury. Wiosna to przejaw życia, odradzającego się w nowej postaci, to nowy sojusz, zawarty między smutkiem a otuchą, cieniem a jasnością, zwątpieniem a nadzieją. Wiosna przynosi wzrastające pożądanie innej wiosny — wiosny ducha, wiosny zorzy i nowe poczucie sił niezużytych, niesteranych, niezgnębionych przez długie, szare, powolne dni istnienia.

Lecz wiosna ma też inne dla ludzi dary; związane są one z nią ściśle — szare codzienne fakty, bijące w oczy swą posępną, jednostajną monotonnością, z jaką rok w rok powracają wraz ze zbudzoną do życia radością promieni słońca, świeżości barw liści i kwiatów. Na wsi wiedzą, że wiosna to czas, który nosi posępne i okrutne miano — przednówek. Na wiosnę bydło pada z wycieńczenia, z braku paszy, na wiosnę ostatnią krowę się sprzedaje, aby przeżyć do zbiorów, na wiosnę rugują za podatki, tradują za długi.

Tegoroczna wiosna w tym względzie nie zawiodła, przewyższyła nawet wszelkie oczekiwania. Ze wszystkich stron kraju dochodzą krótkie, suche, lecz pełne wewnętrznej grozy wiadomości. Wiosna nie zawiodła — przyniosła straszny, zatrważający plon.

Tylko my mało wiemy o tem. Czytamy coprawda, że produkty drożeją, że fabryki stają, że panuje powszechna stagnacya w przemyśle i handlu. Specyaliści, badający życie ekonomiczne, wiedzą dobrze o tych zjawiskach. Lecz my, ludzie naukowo niebadający ekonomicznej strony życia, tylko patrzący w nie i stanowiący masę, która tworzy kulturę i przyjmuje nazwę, wiele mówiąca i wiele malującą — inteligencyi, co my wiemy o nich i jak na nie reagujemy? Niech każdy z nas, którzy mamy w sobie wrażliwą odczuwalność istot żywych, i chcemy iść przez życie, nie ślizgając się po jego powierzchni, lecz patrząc w głębie bytu, zatrzyma swą myśl przy tej jednej drobnej wiadomości, którą obecnie często znaleźć można w dziennikach. Fabryka pana X. ograniczyła produkcyę i czas roboczy. Co te parę wyrazów mówi nam? co mieści dla nas, szczycących się tem, że idziemy z biegiem czasu, że stoimy na wysokości kultury naszej doby?

Mózg, wyszkolony w stałym tonie artykułów, czy książek poczytnych, poczyna snuć pewne myśli: o ryzykowności przedsiebiorstw, o niezbędności rozwoju przemysłu i handlu dla dobrobytu ogólnego, o potrzebie tanich kuchen, o nędzy itd.; myśli niejasne, niepołączone z sobą, bez podkładu ściślejszego zainteresowania się — ot, takie odruchy, milknące po chwili. Jednak wiadomości tego rodzaju zostawiają pewną gorycz, niesmak, pewne niemiłe wstrząśnienie uczuć, drzemiących po za świadomością, lecz rzadko kiedy z tej goryczy i tego niepokoju rodzi się pełne tragicznej niemocy pytanie: co począć? zwykle od tych uczuć i myśli radzibyśmy jak najprędzej się uwolnić, jak od ciężarów gniotących piersi i odbierających wszelką radość...

Tymczasem złych wieści coraz więcej.

---

nia, miałem jeszcze dość czasu. Siedziałem więc dalej i w duchu przechodziłem raz jeszcze wszystkie argumenta, przemawiające za pójściem do teatru. Prawdę mówiąc, zły byłem — właśnie dziś miałem i monetę! Ale nie był to argument, który wystarczał dla mnie, cóż dopiero mówić o Chmurze. . A jakiem spojrzeniem swoich wypukłych, ciemnych oczu obrzuciłby mnie Tyrolczyk.

Wreszcie byli gotowi. Strasznie ładnie wyglądali dziś obaj. Chmura jeszcze na ostatek oczyścił się szczotką gruntownie. Gdym to zobaczył, ruszyło się we mnie sumienie. Jak cię widzą, tak cię piszą — pomyślałem, wstałem i wziąłem w rękę szczotkę. A teraz do kapelusza... gdzie u kaduka go położyłem?... A gdyby się też nie znalazł!

Ale gdzieby też! Otóż idzie z nim Tyrolczyk. Znalazł go na ziemi pod komodą. Że też on zawsze taki chybki w odszukaniu wszystkiego, ten Tyrolczyk!

Wyszliśmy.

Był to prześliczny, letni, świąteczny dzień; słońce, stało na zachodzie, rozprażone do białości. Na północy, ponad wzgórzem widać było małą, jasno-szarą chmurkę, zapowiadającą deszcz. Tyrolczyk, dla pewności, wrócił po parasol.

Jasno-zielone, dziewiczo - świeże stały drzewa, młodym liściem okryte. Trawa i żółte kwiatki w gorącej żądzy życia pchały się mozolnie z twardej ziemi na wierzch. Bzykały i furczały rozmaite drobne jestestwa, bujające w okół, powstawało to, rosło i chciało trwać wraz z potężnem słońcem. Jasno-barwne motyle, białe, jak lilia lub ogniście-żółte, oszołomione latały w pośród kwiatów, pełnych wdzięku, jak one same.

Na ulicach duszno było, a słońce paliło. Ludzie snuli się postrojeni; co krok nasuwał się nam przed oczy świat i jego pokusy. Małe, wesołe grupki kobiet i mężczyzn wracały piesz o lub na wozach z pól i lasów; a zawsze kobiety z mężczyznami razem; zawsze ze śmiechem i zabawą — same jasne stroje, kwiaty, zieleń, wesele. Ach, gdyby oni wiedzieli, co im da spokój!... ale to zakryte dla ich oczu. Spaleni od słońca, zadowoleni wracali z pustymi koszami, a nie wyglądali bynajmniej, jak gdyby zaprzepaścili dusze swoje; wielu z nich popiło się nawet. Wesołe grupy młodych dziewcząt: kelnerek, szwaczek, panien sklepowych przebiegały obok nas w radosnym pośpiechu. Gwarząc i śmiejąc się, szły w swoją drogę, mierząc nas bystremi oczyma. A zawsze ostatnie spojrzenie dostawało się Tyrolczykowi... złościło mnie to, albożto ja brzydki jestem, czy co?

Za dziewczętami szli chłopcy. Rozmaitego stanu: wielcy, ciężcy czeladnicy w letnich spencerach, czarno ubrani, zakurzeni artyści i studenci z laskami, w okularach, z cygarami w ustach, dumając nad tem, jakie też przygody czekają ich dzisiejszego wieczoru. Byli między nimi i panowie niewiadomych zawodów, ale wszyscy zdawali się zgadzać na pewnym punkcie a mianowicie: ani jednej myśli nie poświęcali swojej nieśmiertelnej duszy. Pan Bóg patrzał na to wszystko i nie grzmiał!

Ja i moi przyjaciele szliśmy prostą drogą do celu, niemal w całkowitem milczeniu. Rozmawialiśmy trochę o pastorze Hermansenie, zresztą zamieniliśmy chyba tylko kilka obojętnych słów o pogodzie.

Z każdego rogu ulicy uderzały w oczy afisze teatralne: Marya Stuart w Szkocyi, muzyka Ryszarda Nordraaka! Za kilka godzin podniesie się zasłona, rozpocznie się taniec w starożytnym zamku królewskim, szesnastoletnie stulecie powstanie z grobu i zatańczy menueta. A temu uroczystemu pląsaniu wtórować będą tony, przypominające jesienny wicher, szumiący w starym dębie. Słyszałem je znów: poczęły falować i dzwonić w uszach, kusząc mię.

(D. n.)

Przeł. z norw. *J. Klemensiewiczowa.*

W tych dniach czytamy w artykule p. Sygietyńskiego „Łódź, to miasto, w którem znajduje się obecnie 15,000 robotników bez chleba.“ A Warszawa?—a inne mniejsze miasta? a wieś? Tysiące bez chleba, tysiące istnień ludzkich, światów samych w sobie, tysięcy, mających prawo do życia, bez chleba!...

Czas już wielki zastanowić się, poddać tę kwestyę badaniu ludzi, znających te strony życia, żądać od nich inicyatywy w walce, w której przyjąć winni udział wszyscy, co odczuwają grozę położenia. Tu i tam wprawdzie ludzie się ruszają. Nie lekceważę bynajmniej tych poczynań, lecz twierdzę, że wobec grożącego nam kryzysu, należy całą masą stanąć do walki ze straszną zmorą; bo skutecznie walczyć może tylko ogół.

To, na co teraz patrzymy wskazuje niezbędność i wielką wagę pracy społecznej, opartej na ujęciu całokształtu życia w jeden ideał i prężeniu energii ku przyszłości.

Lecz położenie dnia dzisiejszego wysuwa na pierwszy plan konieczność natychmiastowego działania wobec zjawiska, które jest już pośród nas i może poczynić większe szkody i wyłomy, niż nawet przypuszczamy. Jakże jaskrawo wobec tego uderza ten dziwny stan letargiczny, w jakim spoczywa energia społeczna naszego ogółu. Walka natychmiastowa, oparta na szybkiem oryentowaniu się w położeniu, to rzecz nam całkiem obca. Bez zdolności do konsekwentnych, stałych, zywszych poruszeń, wstręt czując do wszelkiej nowości, zwykliśmy błędnemi oczyma patrzeć na spustoszenia, jakie wyrządzają nam nieszczęścia żywiołowe i wstrętnie sentymentalni, szczerze niezaradni, załamujemy ręcę i — współczujemy.

A tu trzeba czynu. Społeczeństwo, świadome swoich potrzeb: powinno rozumieć, że działać musi. Ale myśmy zrozumieniem nigdy nie grzeszyli. Powoływanie się na okoliczności zewnętrzne wszystkiego nie tłomaczy. Główne zło, to niezdolność do czynu; nie dlatego żeśmy tak zakrzepli w ciasnem kole osobistych zysków i strat, lecz że naszym mózgom brak inicyatywy, że czujemy lęk przed nowością, że zupełnie nałogowo trwamy w martwocie woli. A tymczasem niedola nas otacza coraz bliższem i coraz szerszem kołem, rośnie nam w oczach, olbrzymieje, groźna, posępniejsze z dnia na dzień. A my — nic lub tyle, co nic. Robimy wielkie plany, projektujemy ogromne przedsiebiorstwa, zaciągamy wielo - milionowe pożyczki i czekamy — rozprawiamy i czekamy, aż fala nas zaleje.

br.

Kwiatki szczerości.

(Nadesłane).

Niedawno pokazywano mi list pewnego dziennikarza galicyjskiego do jednej z redakcyj warszawskich z takiem zakończeniem: „Ofiarując moje usługi, oświadczam z naciskiem, że posiadam wypróbowaną zdolność i należytą wprawę w stosowaniu moich artykułów do wszelkich wymagań i nadawania moim przekonaniom takiego kierunku, jaki mi *dotycząca* redakcya każdorazowo wskazuje.“ (Piękne to zdanie przepisałem dosłownie). Ktoś oburzał się na ten kauczukowy mózg — ja go bronię. Bo naprzód — jak mówią Francuzi — *jamais honteux n'eut belle amie*, a powtóre lubię kwiat szczerości, chociażby między barwnymi płatkami jego korony leżała upojona ich wonią pluskwa. Galicyanie zaś wogóle odważniej, niż my, pokazują swoją nagość. Patrzcie...

Hersz Landau był w Krakowie faktorem do zbierania głosów wyborczych za pieniądze. Ponieważ zaś konserwatyści są bogaci, więc im służył. Naturalnie pomiędzy takim panem, który namawia młode dziewczyny do sprzedanie cnoty kobiecej a takim panem, który namawia dojrzałych mężów do sprzedania cnoty obywatelskiej, niema żadnej różnicy zasadniczej. Jeżeli tedy b. p. Hersz Landau zasiadał w radzie miejskiej, która po jego śmierci, okryta głęboką żałobą, wywiesiła na swym gmachu czarną chorągiew, to miejmy nadzieję, że w dalszym rozwoju dostąpi kiedyś podobnej godności druga odmiana tego gatunku. Bo Galicya — „c'est la société ronde et franche“ — jak się wyraża hrabia Wieloryb. Z nią wszystko zrobić można.

Tak twierdzi również kard. Puzyna. Ten czerwony rak wywiaduje się bardzo starannie, czemby mozna najsilniej obrazić uczucia ogółu. Trudno byłoby policzyć, ile on razy plunął w serca swych owiec, które zaledwie słabo beknęły. Przed paru tygodniami usunął pewnego księdza za to tylko, że ten swym humanizmem zyskał popularność, a gdy mu zwracano uwagę, że to moze wywołać oburzenie, krzyknął: „Co wy mnie straszycie jakiemś baraniem oburzeniem? Ja właśnie go pragnę! Wy byście chcieli, ażebym wam przyniósł z Paryża do Krakowa w tabakierce prochy Słowackiego lub Chopina? Poczekajcie, aż zostanę prezesem Czytelni Akademickiej.“ Ten Galicyanin może nie jest „rond,“ ale jest „franc.“

Zdziwiło to opinię publiczną, że w tym roku krakowska Akademia umiejętności mianowała zaledwie paru członków. I mnie to zdziwiło, bo przecież głęboki pokład archeologów, badaczów, którzy „zbierają materyały“ i poważnych mężów, którzy nic nie zrobili ani dla nauki, ani dla literatury, nie został jeszcze wyczerpany. Sam znam kilkudziesięciu członków redakcyj prawomyślnych, Towarzystwa pop. ros. przem. i handlu, Towarzystwa oczyszczania spirytusu, syndykatu rolnego i gminy żydowskiej, których nieśmiertelność zapisana będzie niewątpliwie w aktach stanu cywilnego i którzy nie mniejsze posiadają kwalifikacye wstąpienia do Akademii, niż wielu ich towarzyszów, już w niej zasiadających. Oto np. wielce szanowny Hilary-Świerzb-Nieżyt-Pokracki, który zebrał a nawet śpiewa najtłustsze krakowiaki we wsi Giezło i równie szanowny Salomon Steinsohn, który podczas „święta szałasów“ urządza sobie na balkonie delikatną kuczkę, a podczas Wielkanocy katolickiej—wystawne święcone — jacyż by to byli pyszni „członkowie korespondenci.“ Mam jednak nadzieję, że i na nich kiedyś przyjdzie kolej. Galicya jest szczera, Kraków — szczerszy, a Akademia — najszczersza. I odważna! *Elle joue gros jeu.* W potrzebie nie cofnie się nawet przed wprowadzeniem do swej parafii siermiężnego analfabety, który natchniony spirytusem krzyczy na sejmiku przedwyborczym: „Niech żyje hrabia Tarnowski! Niech żyje ekscelencya Bobrzyński! Niech zginą psiekoście demokraty! Nie chcemy szkół po wsiach!“

A my na to po japońsku: „Banzaj!“

Go—on.

Pod adresem autorów.

Polemika, która w ostatnich czasach zawrzała między autorami a krytyką, rozstrzeliła się głównie w dwóch kierunkach: autorzy zwrócili uwagę na nieuczciwość krytyków i zgodnie rozdarli z tego powodu swe szaty, poczem rozdzielili się; jedni zarzucili sprawozdawcom, że nie wnikają w duszę krytykowanego, drudzy, że do tej duszy pozwalają sobie wchodzić bez najmniejszej ceremonii i to w dodatku z kaloszami i parasolem, nie zameldowawszy się poprzednio przez posłanie biletu wizytowego i sakramentalne zapytanie kamerdynera, „czy dusza dzisiaj przyjmuje?“ Pierwsi „drzwi swej duszy“ otworzyli naoścież, drudzy zamknęli je na trzy spusty. Natomiast krytyka włożyła na siebie poważną togę sędziego i z miną obrażonego, ale pobłażliwego ojca zaczęła przywoływać niesforne dzieci do porządku, zapewniając zresztą, że bądź co bądź jest potrzebna, bo przecież itd. Dodać należy, że polemikę prowadzono w tak zw. przyzwoitym tonie, który, jak dotąd, polega najczęściej nie na tem, aby przeciwnikowi swojemu okazać (jeżeli na to zasługuje) szacunek, ale na tem, aby mówić ogólnikowo i, broń Boże, nie stawiać kwestyi na właściwym gruncie. To też zamiast argumentów mieliśmy frazesy, zamiast wskazania palcem na winowajców — ckliwe rady i sentymentalne westchnienia.

Kwestya, czy krytycy są potrzebni i czy mają prawo „wchodzić do duszy autora“, jest kwestyą śmieszną i nie zasługuje na poważne traktowanie, natomiast warto przysłuchać się temu, co autorzy mówią o celach i zadaniach krytyki, nie dlatego, aby z rad tych skorzystać, ale dlatego, by skonstatować, do czego rady te zmierzają i zdobyć niektóre dane, składające się na ciekawy przyczynek do psychologii niektórych naszych autorów. Znamiennym w tej mierze jest artykuł p. Aleksandry Szczyńskiej; zamieszczony w 19 numerze *Prawdy*.

Pani S. boleje również nad niesumiennością krytyków naszych. Pani S. słusznie utrzymuje, że po za dziełem stoi autor, ale niesłusznym, a raczej niewyczerpującym jest jej wniosek, że tym autorem krytyk zajmuje się więcej, niż samem dziełem. Należy pamiętać, że jeżeli po za dziełem stoi autor, to po za autorem stoi jeszcze człowiek, zwykle bardzo próżny, wrażliwy na każde niepochlebne zdanie, a przejmujący się tem wszystkiem, co o dziele jego powiedziano. I to jest rzecz naturalna. Bo mylnem i płytkiem jest twierdzenie, że krytyk powinien pisać wyłącznie o dziele i niczem nie dotykać autora. Gdzież znajdzie się autor, któryby nie uczuł się dotkniętym, gdy dziełu jego zarzucą nieuczciwą tendencyę, a jemu samemu choćby tylko poziomość, nieznajomość ludzi, życia i.... gramatyki? Niesłusznem jest również potępienie krytyków za to, że narzucają autorowi intencye, których ten się wyrzeka, których nie miał i nigdy mieć nie będzie. Czyż intencye autora nigdy nie budzą wątpliwości, czyż myśli jego zawsze wypowiedziane są tak przejrzyście i jasno, że z dwóch różnych zdań o tem, jedno będzie zawsze nonsensem i tylko nonsensem? Wprawdzie niedawno jeden z naszych autorów oświadczył wręcz, że *psiem prawem* (tak!) krytyka jest, albo zrozumieć i odczuć to, o czem pisać zamierza lub też milczeć, ale nawet zwolennik tego, powiedzmy, prawa nie dał recepty, *jak* mianowicie powinno się rozumieć i odczuwać. I naturalnie recepty takiej dać nie mógł, gdyż chcąc być konsekwentnym, musiałby przyznać, że skoro sam krytykuje, to dzieła krytykowano rozumie i odczuwa, a zatem każdy, ktoby inaczej ośmielił się odczuć je i zrozumieć, wykazałby niezrozumienie, a więc powinienby milczeć. Na szczęście monopol na zrozumienie i odczuwanie dzieł sztuki, wyłączający różnicowanie i rozbieżność sądów, a sprowadzający krytykę do ugrzęźnięcia w jednym przez najzarozumialszego krytyka narzuconym szablonie, taki monopol, acz bardzo dogadzający próżności jednostek, nie istnieje i, miejmy nadzieję, nigdy istnieć nie będzie. Sądy o dziełach

sztuki nietylko nie mogą być jednakowe, ale muszą być różne. Ktoby chciał się o tem przekonać, niech przeczyta syzyfową pracę Matlakowskiego o *Hamlecie*, niech zestawi choćby różne zdania, wyjęte ze sprawozdań i dziełek, traktujących o dramatach Wyspiańskiego.

To też niezawsze możliwem jest do urzeczywistnienia żądania pani Suszczyńskiej, aby krytyk „dał uświadomienie celu, do jakiego dąży artysta,“ trudnem zwłaszcza jest wówczas, gdy mamy do czynienia z artystą wielkim. Można zanalizować środki, któremi się autorzy posługują — i na to zgoda, ale cóż pocznie krytyk, gdy staje przed dziełem, nic niemówiącem o celu, do jakiego artysta dąży? A jeżeli artysta, tworząc swoje dzieło, nie miał takiego celu przed sobą? A no, w takim razie krytykowi nie pozostawałoby nic innego, jak „cel zrobić“ samemu, nie każdy jednak krytyk miałby tyle... odwagi...

Twierdzenie p. S., że „ w *każdem* dziele artysty (krytyk) winien wyczuwać słabszy lub silniejszy puls nieskończoności“ i uważanie tego za „jedyną miarę, jedyny sprawdzian idei piękna, która jest jedną z najbardziej nieokreślonych, nieuchwytnych, niesformułowanych idei ludzkości“ — to rażące nieporozumienie. Czyż można jedną i tą samą formułką mierzyć ideę niesformułowaną i nieuchwytną? A jeżeli idei piękna sformułować nie można (na co się zgadzam z sz. autorką), to nie można wskazywać łokcia i kwarty, któremi tę nieuchwytną ideę możnaby mierzyć. I jakże to krytyk w *każdem dziele* wyczuwać będzie „puls nieskończoności“? Mamy powieści Żeromskiego — to prawda, ale mamy także powieści hr. Losia i p. Teodora Jeske-Choińskiego.

— Za wielka przepaść! — gotów krzyknąć ktoś z oburzeniem. Nic nie szkodzi, można ją zapełnić, o ile ma się czas i ochotę...

Co do mnie, to nie uznaję recept i przepisów na „robienie dzieł pięknych,“ a wszelkie w tym względzie udzielane rady uważam za chybione. Krytyk może, a nawet musi być człowiekiem omylnym i niedoskonałym, nie może natomiast być niańką, owijającą każdego autora w pieluszki wonnych kadzideł, czy powijaczki dobrodusznych rad i wskazówek, nie może w każdem dziele wyczuwać pulsu nieskończoności, bo najczęściej ma do czynienia z elaboratami nikłymi i przemijającymi, a wreszcie, o ile jest krytykiem uczciwym, to próżność autorską tylko w wyjątkowych razach zadowolić jest w możności.

I w tem tkwi dla mnie przyczyna, która wywołała wojnę krytyków z autorami. Próżność, próżność i próżność — oto, co naczęściej powoduje niezadowolenie autorów. Pouczanie krytyki, jaką ma być lub jaką być powinna, słowem, to całe guwernerstwo, którego krytyka dobrowolnie wyrzekła się względem autorów, nie może pchnąć sprawy na pożądane dla tych ostatnich tory. Ta próżność — to jedna strona całej polemiki, jest i druga: nieuczciwość krytyków. Czy ta nieuczciwość istnieje? Zapewne, ale cóż na to poradzić? Czy można z nią walczyć? Jeżeli tak, to niech autorowie postawią nieuczciwych krytyków pod pręgierz, niechże ich skopią moralnie i wyrzucą na śmietnik nieużyteczności społecznych!..

Uczciwi krytycy, patrząc na taką robotę, niewątpliwie będą bili brawo.

A jeżeli walka ta z jakichkolwiek bądź względów jest niemożliwa, to na melancholijne westchnienia, ckliwe rady i do niczego nieprowadzące lamenty szkoda, doprawdy, czasu.

Artur Śliwiński.

Muzeum Narodowe w Krakowie.

Dr. Feliks Kopera, kierownik Muzeum Narodowego w Krakowie, w świeżo ogłoszonem „Sprawozdaniu Dyrekcyi za r. 1903“ daje wyczerpujący obraz różnorodnej działalności instytucyi, której dla zupełnego urzeczywistnienia szeroko zakreślonego programu we wszystkich kierunkach brak pono głównie — środków. Gdyby nie stosunkowo niezbyt wielka ilość okazów, wielorakość tych kierunków i poszczególnych działów Muzeum mogłaby nawet wywołać pewne obawy, co do pomyślności dalszego jego rozwijania się, rzadko bowiem jedno muzeum skupia w sobie tyle rozmaitych zbiorów. Lecz trzeba o tem pamiętać, że tu, jak i na innych polach, różnicowanie i specyalizacya są tylko skutkiem wysokiego szczebla rozwoju.

W roku ubiegłym urządzono w Muzeum dwa działy — przedhistoryczny i etnograficzny, oraz otwarto nową salę, poświęconą pamiątkom historycznym. Dział przedhistoryczny, powstały prawie wyłącznie z darów, został uporządkowany przez dr. Włodzimierza Demetrykiewicza, który i katalog odpowiedni do druku przygotowywa. Dział etnograficzny, składający się w pierwszym rzędzie ze zbiorów Seweryna Udzieli, strojów ludowych, przez liczne, galicyjskie rady powiatowe nadesłanych i z przedmiotów przez Tow. Polskiej Sztuki Stosowanej ofiarowanych, do porządku przyprowadzili pp. S. Udziela i J. Warchałowski, a najkompletniej oczywiście przedstawia się tu grupa krakowska.

W ciągu roku zwiedziło Muzeum około 26,000 osób, dochody własne — głównie z opłaty wstępu i sprzedaży katalogów — dosięgły cyfry około 11,500 koron, a zapomoga państwowa, krajowa i miejska wyniosły około 13,500 kor.

W długim opisie darów, przez Muzeum otrzymanych, świadczącym o ofiarności kilku jednostek naszego społeczeństwa, pierwsze oczywiście miejsce zajmuje wspaniała darowizna rodziny Czapskich. Jak wiadomo, muzeum hr. Emeryka Czapskiego zawiera znakomitą bibliotekę i nader cenne zbiory monet, medali i rycin oraz innych starożytności polskich. Mieści się ono w oddzielnym budynku, a dla rozszerzenia go gmina miasta Krakowa dokupiła u spadkobierców gmach sąsiedni. Teraz komisya zajęta jest wprowadzeniem w życie, szczegółowo i bardzo ciekawie opracowanego, projektu reorganizacyi bogatych zbiorów tego Muzeum.

W ścisłym z niem związku stoi jeszcze parę wspaniałych darów, znakomicie uzupełniających niektóre jego braki: przedewszystkiem kolekcya przeszło 300 ogromnie rzadkich monet piastowskich z XII i XIII w. p. Wiktora W. Wittyga których nie posiadają bogate zbiory numizmatyczne hr. Czapskiego. Ofiarodawca w tym razie na tem większe zasługuje uznanie, że dla dobra ogólnego rozbił swój własny zbiór brakteatów polskich. Prócz tego p. Wyttig ofiarował Muzeum Narodowemu ważny z wielu względów dobór paru tysięcy autografów polskich i, *last not least*, jedyną u nas kolekcyę blizko 2,000 pieczęci dawnych miast polskich, przeważnie z XVI wieku. Dyrekcya Muzeum w najbliższym czasie wyda naukową o nich publikacyę. Również dla uzupełnienia odpowiedniego działu w Muzeum Czapskich P. B. ofiarował cały swój arcybogaty zbiór rycin, z którego Muzeum Narodowe wybrało aż 3,000 samych portretów polskich. Nareszcie należy wymienić darowiznę pięknej biblioteki dr. W. Lasockiego, zawierającej, prócz starych, cennych druków, map i rysunków, głównie dzieła tyczące się historyi i historyi sztuki. Wraz z księgozbiorem hr. Czapskiego ma ona stanowić podstawę przyszłej biblioteki publicznej Muzeum Narodowego, która za lat dziesięć — objaśnienia tego terminu sprawozdanie nie podaje—powina być otwartą.

Z licznych jeszcze, mniej lub więcej wartościowych darów, których wyliczenie za dużo zajęłoby miejsca, zwracamy uwagę tylko na wzbogacenie się działu przemysłu artystycznego dość pełnym zbiorem polskiej porcelany z fabryk w Korcu i Baranówce, ofiarowanym przez p. St. Mączyńskiego.

Godną zaznaczenia jest też zewnętrzna szata sprawozdania, jak wszystkie publikacye Muzeum, wydanego bardzo gustownie i ozdobionego rycinami.

P. E.

Emil Duclaux.

Dnia 3 maja zmarł nagle znakomity uczony, kierownik instytutu Pasteur'a — Emil Duclaux. Śmierć ta budzi głęboki i powszechny żal, w jego osobie bowiem ponosi stratę nietylko nauka, ale i całe społeczeństwo francuskie. Był to umysł jasny, charakter czysty i silny. Namiętnie oddany poszukiwaniu prawdy, zawsze i wszędzie gorąco walczył w jej obronie.

Urodził się 1840 r. w miasteczku Aurillac, dokąd też zwłoki jego zostały odwiezione w ciszy i prostocie, cechującej całe jego życie; stosownie do wyrażonego przezeń życzenia nie było przeżytych ceremonij, mów pogrzebowych, wieńców, delegacyj...

Fortuna nieobecną była u jego kolebki: Duclaux pochodził z ludu i o tem nigdy nie zapominał, żywiąc zawsze jak najgorętszą miłość dla wydziedziczonych. Wcześnie zmuszony do pracy zarobkowej, przyjął miejsce dependenta u adwokata w swem rodzinnem mieście. Wprędce jednak poczuł, że przepisywanie aktów nie zaspakaja jego żądzy światła, a środowisko, w jakiem żyć musiał, nie odpowiada jego zapatrywaniom i dażeniom. Dzięki niezwykłej energii potrafił przełamać trudności materyalne i naukowe, zdał pomyślnie konkursowy egzamin wstępny do Wyższej Szkoły Normalnej i po trzech latach, ukończywszy ją w 1862 r., dostał się do laboratoryum Pasteur'a. W owej epoce nie były jeszcze dokonane wielkie odkrycia bakteryologiczne, niemniej jednak imię Pasteur'a było już znanem, pracował on wówczas nad ocaleniem pewnej części bogactwa krajowego, a mianowicie szukał sposobu zwalczenia choroby, jakiej podlegały jedwabniki. Badania swe zebrał w książce, którą zdobi rycina, przedstawiająca uczonego nad mikroskopem — owym uczonym był młody Duclaux.

Następnie mianowany został profesorem chemii w Clermont-Ferrand, fizyki w Lyonie, a w 1879 r. powołany do Paryża na profesora Instytutu agronomicznego, wreszcie w 1886 r. ofiarowano mu katedrę chemii biologicznej w Sorbonie, a po śmierci Pasteur'a uznano go godnym objęcia opróżnionego stanowiska kierownika Instytutu. W szeregu prac jego naukowych powszechnie znaną jest czterotomowa *Traité de Microbiologie*, zapatrywania zaś jego co do hygieny społecznej, wyrażone w szeregu wykładów w Ecole des hautes etudes sociales, zebrane zostały pod ogólnym tytułem *Hygiène Sociale*, gdzie Duclaux rozpatruje choroby epidemiczne, zakaźne, alkoholizm itp.

W ostatnich czasach uderzony przesadą propagandy antialkoholicznej, zaczął ze zwykłym sobie spokojem i bezstronnością

naukową badać rolę alkoholu w ekonomii organizmu ludzkiego. Doświadczenia dokonane w Ameryce przez Atwatera i Benedica, zainteresowały go żywo, przedsięwziął przeto zbadanie tej kwestyi, a doszedłszy do przekonania, że alkohol w ilości umiarkowanej może oddawać pewne usługi, wyraził otwarcie, co myślał. Wywołało to ogromną wrzawę, głośny zatarg pomiędzy alembikiem i moralnością. Zapatrywania jego zostały wyzyskane przez tych, którym nie miał bynajmniej zamiaru ani schlebiać, ani służyć, jak również i przez tych, którzy z nauki uczynili materyał do reklamy i spekulacyi. Pozostał jednak spokojnym wobec obelg i insynuacyj, a badań nie porzucał.

Duclaux był nietylko pochodnią wiedzy, wzorem prostoty, pracowitości i wytrwałości; miał on też rozwinięte uczucia obywatelskie. Gdy wybuchła sprawa Dreyfusa, był jednym z pierwszych t. zw. inteligentów, którzy poczuli się do obowiązku wyjścia ze swej pracowni lub laboratoryum i przyjęcia udziału w walce ideowej obok Scheurera, Zoli, Trarieux, Clemenceau, Anatola France i innych. Przejęty do głębi miłością dla prawdy, nie pojmował tego, jak można patrzeć obojętnie na tryumf kłamstwa i fałszerstwa, jak można egoistycznie zamykać się w ciszy gabinetu, używać rozkoszy badań naukowych, gdy społeczeństwo dokoła walczy i cierpi. Był on razem ze słynnym chemikiem Grimaux i innymi cichymi uczonymi jednym z założycieli Ligi praw człowieka (Ligue des droits de l'homme et du citoyen) i jako jej wiceprezes rozpatrywał z niezwykłą cierpliwością i uwagą niezliczone skargi ofiar niesprawiedliwości, bezprawia lub nadużycia. W czasie jednego z posiedzeń komitetu Ligi przed dwoma laty, gdy brał do ręki pióro dla sformułowania wniosku w kwestyi określenia praw, przysługujących nauczycielom, dostał po raz pierwszy ataku apoplektycznego, złowrogiego zwiastuna bliskiego końca. Obok czynności, wynikłych z należenia do Ligi, zajmował się gorąco uniwersytetami ludowymi, jako też Szkołą nauk społecznych (Ecole des Hautes Etudes sociales), do której założenia znacznie się przyczynił. Ze sprawy Dreyfusa wyniósł przeświadczenie o konieczności skierowania wszystkich usiłowań ku wychowaniu nowych pokoleń, rozwinięciu uczuć społecznych a wytępieniu wszelkich przesądów, wierzył, że wówczas jedynie ludzkość będzie szczęśliwa, bo od wspólnego stołu nie będzie usuniętą żadna jednostka... *Z.*

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Odpowiedź.

Już sam brak nadziei, ażebyśmy mogli porozumieć się z przeciwnikiem, który potrosze improwizuje dowody a potrosze nadaje im tendencyjne znaczenie, zmusza nas do krótkiej odpowiedzi *Głosowi* w przedmiocie pozytywizmu.

Pyta on: „Dlaczego pozytywiści lub ci, którzy w ich obronie przemawiają, gniewają się, słysząc zdanie, że pozytywizm warszawski, tj. prąd umysłowy i społeczny u nas z przed dwudziestu kilku laty był związany z ekonomicznym ruchem w kraju, rozwojem wielkiego przemysłu i ówczesnemi dążeniami mieszczaństwa?" Zagadka rozwiązuje się prosto: 1) „pozytywistów" u nas niema — co zresztą o kilka wierszy niżej sam *Głos* przyznaje — więc oni „gniewać się" nie mogą; 2) nikt się nie gniewa; 3) nikt nie zaprzecza związku między ruchem umysłowo-społecznym przed 20 kilku laty a ekonomicznym stanem kraju, tylko istotni znawcy tego procesu występują przeciwko karykaturowaniu go jako wyidealizowaną dążność mieszczaństwa, nadającą liberalizmem siłę rozpędową maszynie swych interesów. Taką zaś karykaturę, która często przechodzi w paszkwil, kreślą gadacze konserwatywni w Warszawie i krzykacze radykalni za granicą.

„Niech autor z *Prawdy*—powiada *Głos*—odczyta sobie niektóre artykuły Świętochowskiego, Prusa i innych, a niewiadomość jego się zmniejszy." Otóż autor z *Prawdy* odczytał i nie „niektóre," ale wszystkie artykuły Świętochowskiego, Prusa i innych z epoki „pozytywizmu"—i właśnie na ich podstawie zaprotestował przeciwko „bajce o czapli na wysokich nogach."

Na dowód, że dawni pozytywiści pogodzili się i pokumali ze swymi przeciwnikami, *Głos* przytacza fakt, że Chmielowski pisywał od kilku lat w *Kuryerze Warszawskim* i że organy zachowawcze we wspomnieniach pozgonnych podniosły jego zasługi. Czy to dowód założenia? Czyli Sieroszewski i Żeromski przeszli do parafii *Tyg. Ilustrowanego* a Daniłowski— *Kuryera Warszawskiego*, bo w tych pismach zamieszczają swoje utwory? Trzeba fakty mocno ciągnąć za włosy, ażeby składały takie świadectwa.

Powtarzamy to, co po zbadaniu akt „pozytywizmu warszawskiego" w zamiarze opracowania jego dziejów powiedzieliśmy dawniej: był to moment w naszym rozwoju bardzo ważny i wpływowy, a zasługuje on na gruntowniejsze poznanie i sprawiedliwszą ocenę, niż dotychczasowe o nim dyletanckie lub wprost bezmyślnie złośliwe wyroki. *Hd.*

Przyjacielska rada.

A gdybyście szanowni „koledzy po piórze" spróbowali - ot tak, dla odmiany! — myśleć o rzeczach, wprawdzie nienależących do błota i kurzu, przylepionego na kołach wozu chwili, a jednak posiadających dość znaczną wagę dla naszego życia. Nie mamy tu na względzie dokuczliwej troski o to, czy p. Kruszelnicka ustąpi coś ze swego żądania 1,000 rb. za jeden wieczór w operze, czy też nie, bo dusza rzetelnego „nadwiślanina" nigdy z takiemi kwestyami się nie rozstaje, ale inne rzeczy, suchsze, jednakże niezbędne. Ot np. gdybyście nieco porozmawiali z sobą i czytelnikami o tem, w jaki sposób zatamować rozlewające się coraz bardziej po naszem społeczeństwie fale rozpusty, w których toną jego siły fizyczne i duchowe moralne? Lub też: w jaki sposób wskrzesić wśród naszej młodzieży zamarłą miłość dla nauki? A wiecie, szanowni „koledzy po piórze," co wy zyskalibyście na zajęciu się takimi przedmiotami? Nie dręczyłaby was nigdy okrutna zmora niepewności, czy ks. Skarzyński, objąwszy parafię Panny Maryi, wypowiedział miejsca wszystkim oficyalistom kościoła, czy tylko niektórym? Wszakże pamiętacie, jak was to pytanie nękało przed paru tygodniami, dopóki jeden z was, „najlepiej poinformowany," nie dowiedział się, że wezwanie rejentalne otrzymał tylko organista — dziad zaś pozostaje. *wd.*

Znowu pusty frazes.

Ogólna zasada prześlizguje się łatwo przez usta ludzkie jak ślimak, a szczegółowy jej wypadek przechodzi przez nie trudno, jak jeż. Ile to piór, ile arkuszów zadrukowanego papieru krzyczy do nas od paru lat, że powinniśmy zerwać stosunki z Niemcami! Tymczasem jak te pióra i te arkusze papieru dyskretnie omijają sprowadzoną z Niemiec do Warszawy orkiestrę Windersteina! Nie mogą one nawet usprawiedliwić jej koniecznością, gdyż tutejsza, nie gorsza, musiała wyjechać na wędrówkę. Rozdmuchiwanie nienawiści międzynarodowych nie należy ani do naszych zadowoleń, ani do naszych celów. Nie sądzimy również, ażeby nawet w obecnych zaostrzonych stosunkach kilkudziesięciu grajków niemieckich w Warszawie wyrządzało naszym uczuciom zbyt wielką krzywdę. Natomiast bardzo przykrą w tej sprawie jest nasza chroniczna blaga, nasz gęsty siew ciężkich słów, z których nie rodzą się najlżejsze czyny, nasze publiczne śluby, obietnice, przysięgi, których już nazajutrz nie dotrzymujemy, wogóle, nasza frazesomania, która najgłębszymi korzeniami nie czepia się dusz naszych. Oto jest gorsze od towarów i orkiestr niemieckich, bo występuje jako stała niemoc, która gasi najgorętsze ognie i paraliżuje najszlachetniejsze porywy naszych serc. *or.*

Najwięcej obiecująca dyrekcya.

Jeżeli tegoroczne wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego nie ściągną jakiejś szczególnej pociechy, to doprawdy nie wiemy, co trzeba czynić, ażeby ją sobie zapewnić. Bo ziemianie-wyborcy nietylko wszędzie bardzo gorąco się modlili przed sejmikami, ale nawet w Lublinie prezes wyjednał dla nich dyspensę od postu, jako dla „będących w podróży." To też jesteśmy przekonani, że Dyrekcya lubelska zaćmi wszystkie inne geniuszem swych uzdolnień i energią swych prac. A gdyby w tym wyścigu urządzony był totalizator, niezawodnie najliczniej by ją „obstawiono." Wyznajemy szczerze, że nie spodziewaliśmy się, ażeby Lubelskie przodowało innym okolicom kraju przykładem „dobrego poczynania." Tę miłą niespodziankę psuje nam tylko natrętna myśl, że owe dyspensy i tym podobne akty urządzają się pod wezwaniem i na cześć świątobliwego Tartuffe'a. *og.*

Za wielkie żądanie.

Nasza prasa codzienna domaga się od lat kilku powiększenia liczby policyantów. O ile to jej żądanie dotyczy pustych i niebezpiecznych zaułków — możnaby je zadowolić. Ale ona chce mieć policyanta w każdym punkcie, w którym ktoś miał jakąś przykrość. Samiec brukowy zaczepił kobietę — „przydałby się w tem miejscu posterunek policyjny" — zaznacza troskliwy dziennik. O sto kroków dalej rzezimieszek wyrwał staruszkowi portmonetkę — „przydałby się w tem miejscu posterunek policyjny." Gdzieindziej dorożkarz przejechał dziecko — „przydałby się w tem miejscu posterunek policyjny." I tak dalej. Gdyby literalnie zadość uczynić wszystkim tym życzeniom, należałoby bruk Warszawy tak pokryć policyantami, że zaledwie reporterzy mogliby się między nimi przecisnąć. Zdaje nam się, że nawet w interesie bezpieczeństwa ogólnego nie jest to potrzebnem. Wielu zaś wypadkom istotnej napaści i gwałtu zapobiegłaby sama publiczność, gdyby zamiast gapić się lub — co gorsza — bezwiednie dopomagać nadużyciom, szybko oryentowała się w położeniu i stawała w obronie pokrzywdzonych. *d.*

Dokument wdzięczności.

Komitet budowy pomnika Chałubińskiego w Zakopanem ogłosił sprawozdanie ze swych czynności. Jest ono dość pouczającem. Naprzód jako dokument wdzięczności. Wiadomo, że Chałubiński nietylko ogromnej masie ludzi uratował życie i przywrócił zdrowie, ale wielu leczył darmo. Szczególnie zaś wyzyskiwali go... lekarze, którzy w najdrobniejszym wypadku wzy-

wali do siebie lub swoich rodzin. Otóż pytanie, jak się wyraziła wdzięczność owych ocalonych od śmierci i owych korzystających z jego bezinteresownej pomocy? „Do całkowitego uregulowania wszystkich rachunków — mówi sprawozdanie — brakowało przeszło 3,000 koron (1,200 rb.), składki zaś napływać zupełnie przestały. Na szczęście znalazł się bezimienny ofiarodawca, który zobowiązał się pokryć całą brakującą sumę.“ Czyli że legion dłużników Chałubińskiego nie złożył 6,800 rb. na pomnik dla niego. Nie dziwno: na liście ofiarodawców nie spotkaliśmy nazwisk wielu osób, dla których Chałubiński był dobroczyńcą, lub też spotkaliśmy mizerne, prawdziwie „odczepne“ datki ludzi bogatych. Praktyczni! Przecie zmarły o tem się nie dowie.

Na szczęście nie dowie się i o tem, że akt fundacyjny, wmurowany pod kamień węgielny pomnika, zaczyna się od słów: „Za pontyfikatu Jego Świątobliwości Leona XIII-go...“ itd. Zaiste posługacze tak nie poniewierają trupem szpitalnym, oddanym do prosektoryum, jak niektóre „komitety“ poniewierają duchem nieboszczyka, którego niby mają uczcić. Bo czy autorowie tego „aktu“ zastanowili się, co w nim robi „Jego Świątobliwość Leon XIII“ obok Chałubińskiego? *Bb.*

Przemysł dekoracyjny.

Do bardzo zaniedbanych u nas dziedzin należy sprawa podniesienia poziomu potrzeb etycznych. Nie jesteśmy pozbawieni pewnej wrażliwości w tym względzie; do niedawna jednak w sferze przemysłu artystycznego zupełnie zadawalała nas tandeta przeważnie niemiecka. Niezbędność estetyki w otoczeniu, wstręt oka do rzeczy maszynowo bezbarwnych, monotonnych — to dowód podnoszenia się smaku społeczeństwa, co znów świadczy o ogólnem wysubtelnieniu się ducha ludzkiego. I u nas obecnie coś niecoś poczyna się zmieniać w tym względzie. Wprawdzie nie od wczoraj posiadamy szkoły „artystyczne,“ przeważnie dla kobiet. Większość ich jednak miała na widoku przepędzenie czasu przez panny „na wydaniu“ w okresie między ukończeniem aż 6-klasowej pensyi a ostatecznym celem istnienia — wyjściem za mąż.

Do nielicznych, poważnych prób w kierunku podniesienia stanu przemysłu artystycznego należy istniejąca od niedawna szkoła p. Chalus (prace tej szkoły są obecnie wystawione w salonie Tow. zachęty sztuk pięknych). Kierowniczki jej postawiły sobie za zadanie kształcić poważne pracowniczki, które mogłyby dostarczać artystycznych wzorów przemysłowi. Wystawione prace świadczą o poważnem traktowaniu studyów i umiejętności kierowniczej; naturalnie, krótki przeciąg nauki nie dał możności wszechstronnego rozwoju zdolności uczennic, we wszystkiem tu jeszcze znać szkołę; lecz zalety udzielanych wskazówek są widoczne i pozwalają wnioskować, że w miarę postępu studyów uwydatni się więcej samodzielność i indywidualność uczennic. Przedewszystkiem w wystawionych wzorach uderza dbałość o rysunek i to rysunek estetyczny, niezmanierowany; następnie dążność do wydobycia z materyału pożądanego efektu zdobniczego, bo takie wzory same w sobie mogą być ładne, lecz zupełnie niezastosowane do materyału. Poważną zaletą jest też czerpanie motywów ze świata roślinnego, kwiatów i liści umiejętnie stylizowanych i łączonych. Prawdziwie artystycznymi są niektóre wzory na tapety, wazy, tkaniny, kraty itd.

Nie zamierzam tu oceniać oddzielnych wzorów z punktu widzenia artystycznego; idzie mi tylko o podkreślenie powagi artystycznej zakładu, który może przynieść wielką korzyść naszemu społeczeństwu, kształcąc kobiety w kierunku przemysłu zdobniczego. *b.*

Karnawał zielony.

Obecnie rozpoczęty „karnawał zielony“ przyniósł garść faktów, podobnych nieco do siebie. Co kilka dni kronika wypadków bieżących zapisuje mniej więcej taką wiadomość: Pan X. przyjechał zabawić się w Warszawie. Poznał na ulicy młodą kobietę, którą się tak zachwycił, że spędzili wesoło cały wieczór; nad ranem, po rozstaniu się, spostrzegł, że brak mu pugilaresu, pierścionka itd. Poszkodowany zawiadomił policyę; młoda kobieta została aresztowana.“ Prawda, jaka ciekawa historya, jak typowa, jak niezwykle jaskrawa? Taki pan, zapewne bardzo moralny i religijny, przyjechał dla rozerwania się do miasta; bierze jakąś młodą kobietę, niby sprzęt dla jego potrzeb „pańskich“ niezbędny, a później oburza się, że istota, należąca do kategoryi pół-istnień, zrodzonych z nędzy, ciemnoty, zamiast wielkiej wdzięczności dla tego, któremu miała służyć dla chwilowej rozrywki, jeszcze go okrada. Gdyby mu kto powiedział, że największym złodziejem jest—on, który korzystając z okoliczności, kradnie istocie ludzkiej życie, jak wampir wysysa z niej krew, wyzyskuje jej niedorozwinięcie; gdyby mu kto powiedział, że najniżej upadła prostytutka daleko wyżej stoi od moralnych panów, rzucających gromy na zepsucie a w cichości wymykających się do domów publicznych, to taki pan zdziwiłby się, obraził i nieomieszkał zaopiniować, że... masonerya poczyna przyjmować u nas zatrważające objawy.

Taki pan śmie uważać się za poszkodowanego, a gazety ze spokojem ludzi znających „brudy wielkich miast,“ z przyjemnością zawiadamiają, że młodociana złodziejka została aresztowana. A tymczasem spragniony przygód filar społeczeństwa uda się znowu na poszukiwanie. Przecie kobiet tych nikt nie zmusza, same się narzucają. No i życia znowu tak seryo traktować nie można; trzeba się pobawić. *r.*

Precz z oberwańcami.

I znowu to samo nieszczęście. Indywidua podejrzane, jacyś oberwańcy zajęli wszystkie ławki w Alejach, i spacerowicze nie mają gdzie odpocząć. Poco to wszędzie się pcha; do ogrodów publicznych ich nie puszczają dla nieprzyzwoitości odzienia: łachmany mogą denerwować porządną „publikę“ — teraz znów jesteśmy zmuszeni patrzeć, jak w Alejach dzieci nasze ocierają się o podarte ubranie. Należy wnieść podaniu do zarządu miasta, ażeby zagrodził wejście do Alei żelazną kratą — innego sposobu niema. Widok tych indywiduów drażni oko — i co za śmiałość tam siadać, gdzie przechadzają się eleganccy panowie, asystując eleganckim paniom. Człowiek „prosty“ przyzwyczajony jest do zaduchu warszawskiego, płuca jego są do niego przystosowane, niepotrzebny mu więc spacer w Alejach dla odświeżenia ich lepszem powietrzem. *z.*

BADANIA NAUKOWE.

Walka ze starością

Ogólnie zaciekawiającem jest pytanie, jakim zmianom ulegają tkanki ciała ludzkiego po przekroczeniu granic średniego wieku? gdzie kończy się ich sprawność? jakie warunki wywołują starzenie się i upadanie działalności życiowej organizmu? Kwestya, zdaje się, ważna, niemniej dotąd niedość systematycznie rozpatrywana. Twierdzić można jednak napewno, że starość niezależna jest od wieku, że objawy starcze u bardzo młodych nawet osób zauważyć się dają, a natomiast brak ich niekiedy zupełny u ludzi w podeszłym wieku; że wiele chorób nerwowych wykazuje zmiany ustroju analogiczne z temi, jakie wytwarza starzenie się organizmu — jednem słowem niepodobna określić czasu, kiedy zaczyna się właściwa starość. Faktycznie okres życia ludzkiego obecnie znacznie się przedłużył, i nie mamy prawa przypuszczać, że usiłowania wiedzy ludzkiej, zabiegi hygieny, rozumniejszy ustrój przyszłych form bytu nie nadadzą mu jeszcze większej trwałości. Podwaliny długiej młodości i długiego życia trzeba jednak zakładać już w niemowlęctwie. Dr. Madison Taylor z Filadelfii utrzymuje, że najważniejsze pod tym względem są pierwsze sześć miesięcy życia dziecka, że żadne starania, żadna umiejętność, najdoskonalsze warunki w późniejszych latach nie naprawią zła, wyrządzonego wówczas organizmowi przez niedbalstwo, nieumiejętność lub nieszczęście.

Jedną z kardynalnych konieczności, na co przedewszystkiem uwagę zwrócić należy — jest żywienie dziecka. Zdaje się, że wśród tych, którzy sprawność sił fizycznych i umysłowych zachowali do późnego wieku, niewielu w niemowlęctwie karmiono butelką. W przyszłości, być może, sztuczne żywienie, należycie zbadane, stosowane będzie lepiej i bez szkody dla organizmu, choć trudno uwierzyć, aby mogło ono kiedykolwiek zastąpić pierś matki w zupełności i bez uszczerbku dla dziecka.

Innym niemniej ważnym warunkiem zdrowia fizycznego i długiego życia jest, jeśli nie stałe, to chociaż czasowe przebywanie na wsi, na powietrzu, zdala od wielkich zbiorowisk ludzkich. Faktem jest dawno stwierdzonym, choć niedość powszechnie znanym, że rodziny, stale żyjące w wielkich miastach, w Londynie np., nie dosięgają nigdy czwartego pokolenia. Dla dziecka zaś bardziej jeszcze, niż dla dorosłego, istnieje w mieście mnóstwo warunków, podkopujących siły jego organizmu przez nadmierne działanie na organy zmysłów i wyniszczanie wskutek tego ośrodków nerwowych; takimi warunkami są: ciągły hałas, wieczny pośpiech, nigdy niekończący się szereg obrazów i wydarzeń, trzymających uwagę w napięciu, z dodatkiem złego powietrza, wyziewów z ciał ludzkich i rozkładających się produktów organicznych, szkodliwych gazów i zarazkami obciążonego pyłu. To wszystko przewyższa i bardzo osłabia te dogodności i uzdrowotnienia, jakie mają niby stanowić wyższość miast nad wsią. Dla dorosłych postać rzeczy o tyle się zmienia, że staje się jeszcze gorszą. Współzawodnictwo w walce o byt nie przysparza sił fizycznych, nie pomaga do pełnego rozwoju organizmu, gdyż dla utrwalenia jego sprawności potrzeba swobody i czasu. Ci, którzy wstąpili w średni okres życia, pozostawiając po za sobą żar młodzieńczej niecierpliwości i zapędów, mogli już zebrać pewien zasób doświadczeń co do siebie, wskazujących jasno, czego im trzeba, ażeby w najpóźniejsze lata przechować energię ducha, zdrowie ciała i młodość: bo każdy organizm, po za pewną ilością ogólnych, ma jeszcze swoje własne potrzeby, których zaspokojenia wymaga. Więc dla wszystkich jednakowo niezbędne są: spokój, unikanie gorączkowych zajęć, a nadewszystko gorączkowych rozrywek, wytężonej pracy, odpowiednio zastosowane pokarmy, wyrzeczenie się wszelkich narkotyków i podniet. Po za tem usposobienie pogodne jest najlepszem ubezpieczeniem na życie. Kto nie jest niem obdarzony z natury, powinien je sobie wyrobić — twierdzi dr. Madison Tay-

lor. — Co się zaś tyczy odżywiania starszych, za nadewszystko szkodliwe uważa on przekarmianie: im mniej jeść, im mniej to jedzenie urozmaicać — tem lepiej. Od tej zasady może być jednak sporo wyjątków, nie należy przeto stosować jej bez względnie. Najpierwszym jednak warunkiem młodości, którego utrata oznacza początek starzenia się, jest elastyczność tkanek. Ażeby ją zachować, potrzeba bezwarunkowo żywić się odpowiednio. W tym kierunku doświadczenie ludzi starych mogłoby dostarczyć pewnych wskazówek — w każdym razie bardzo względnych, gdyż każdy organizm, każda rasa, każda społeczność ma swoje wyłączne właściwości. To, co dla jednych byłoby wybornem, dla drugich mogłoby się okazać niewystarczającem, a nawet szkodliwem.

W zasadzie jednak dr. Madison Taylor każe o ile można unikać mięsa, albo przynajmniej poprzestawać na białem, a żywić się przeważnie pokarmami roślinnymi. Chleb drożdżowy uważa, na podstawie wiarogodnego doświadczenia, za największego nieprzyjaciela elastyczności tkanek. Co się zaś tyczy używania alkoholu, tę sprawę należy także indywidualnie rozpatrywać. Szkodliwy on jest wogóle, lecz mogą być wypadki, kiedy pożytecznym, a nawet koniecznym dla organizmu się staje. Był czas, że rozprawiano dużo o szkodliwości nałogowego używania opium. Handel tym produktem, prowadzony na wysoką skalę pod tarczą rządu angielskiego w Indyach i w Chinach, wywołał te dyskusye. Spór zaognił się, handel opium i opieka nad nim uległy prawie powszechnemu potępieniu. Tymczasem Sir Joseph Fayrar, jedna z największych powag medycznych w owym czasie w Indyach, wystąpił bardzo silnie w obronie tego produktu, twierdząc, że u niektórych ras, wschodnich przedewszystkiem, używanie go nie wywołuje tak szkodliwych następstw na umyśle i ciele, jak nam się to zdaje. I na dowód swego twierdzenia przywodził liczne przykłady Hindusów rozumnych i zdolnych, którzy pomimo nałogowego palenia opium, żyli długo, zachowując do końca pełnię sił fizycznych i umysłowych. Dr. Madison Taylor na podstawie własnych poszukiwań zdaje się też nie przypisywać tej truciznie tak wielkiej szkodliwości, uważa ją nawet za niewinniejszą, niż alkohol, który bezwzględnie potępia, gdyż badania wykazały, że skutki nałogowego alkoholizmu daleko zgubniej występowały w następnych pokoleniach, niż skutki palenia opium.

Wracając jednak do metody takiego postępowania i żywienia się, która dawałaby organizmowi rękojmię najlepszych warunków, zapewniających mu długotrwałą sprawność sił fizycznych i umysłowych, przyznać musimy, że wszystko w tej dziedzinie opiera się, jak dotąd, na domniemaniu. Badanie życia ludzi długowiecznych mogłoby zapewne dostarczyć niejakich wskazówek, lecz badań takich obecnie niema prawie na czem oprzeć; przyczyna i skutek występują tu jako objawy czysto przypadkowe. Nawet pojęcie starości nie posiada trwałego co do czasu określenia. W wiekach średnich okres życia ludzkiego był znacznie krótszy — dziś udało nam się go przedłużyć. Czy jednak to przedłużenie, bez zachowania jednocześnie charakterystycznych właściwości, nadających życiu istotną wartość, jest naprawdę pożądane? Jaką przyjemność może dać długie życie istocie, która utraciła żywość uczuć, subtelność myśli, zdrową pobudliwość nerwów, której mięśnie stężały, plecy pochyliły się i wygięły, ruchy stały niepewne i drżące, wzrok przyćmiony, słuch tępy? Trzeba mieć silną wolę, aby nie dopuścić do takiej ruiny własnego ciała, być czujnym jego stróżem i pilnym opiekunem; a tymczasem w młodości taka opieka wydaje nam się niepotrzebną, w dojrzalszych latach — zbyt nużącą. W miarę zmniejszającej się wskutek wieku odporności organizmu niełatwo utrzymać równowagę w stanie sił jego, naruszoną — coraz trudniej przywrócić. Baczyć przeto przedewszystkiem należy aby do naruszenia nie dopuścić. Wstrzemięźliwość w jedzeniu i piciu, odpowiednio dobrane pokarmy, regularny tryb życia tak w zajęciach, jak w rozrywkach jest niezbędnym tego warunkiem. Ważnem także dla zdrowia jest częste przebywanie na otwartem powietrzu, życie w zamknięciu wytwarza bowiem zgubną dla równowagi organizmu wrażliwość na chłód. Chodzić spać wcześnie, wstawać rano, ze słońcem także zaleca się wszystkim, a szczególniej osobom starszym. Należy natomiast unikać długiego spania chyba, że organizm sam się tego domaga — lepiej a nawet zdrowiej przespać się chwilkę w ciągu dnia.

Niezmiernie ważną przedstawia się także sprawa odzieży. Zwykle ludzie starsi używają jej więcej, niż młodzi, chroniąc zazdrośnie skórą swoją od zetknięcia z powietrzem — tak zwanemi „przeciągami.“ Przypisać to należy w części obniżeniu się działalności naczyń włosowatych skóry, zmniejszeniu odporności i siły twórczej komórek, ale też w znacznym stopniu uprzedzeniu i złym przyzwyczajeniom. Te ostatnie są główną przyczyną łatwości, z jaką zaziębiamy się w późniejszym wieku. Zresztą wiadomo jest powszechnie, że im człowiek starszy, tem staranniej powinien usuwać ze swego organizmu produkty wydalone — w tym względzie zaś skórę do najsilniej działających, choć najbardziej zaniedbanych organów zaliczyć trzeba. Nam jednak łatwiej przychodzi spożyć zawartość całej apteki w postaci różnych pigułek, proszków i wód przeczyszczających, niż utrzymać powierzchnię naszego ciała w czystości przez codzienne kąpiele ciepłe lub obmywania.

100.

LITERATURA I SZTUKA

Johannes Schlaf.

Obrzydzenie do tego co jest, wzrok zwrócony z upragnieniem w stronę, skąd oczekiwane jest przyjście nowego człowieka, wspólne jest wielu umysłom. Lecz wielu z nich szuka, a mało znajduje. Do wybranych, którzy uchylili zasłony i wejrzeli w przyszłość, należy Johannes Schlaf. Natura to niezwykle złożona, żywotna i wysubtelniona, obraca się w całym oceanie wrażeń, pragnień dążeń i pomysłów; wszystkie łączy wewnętrznem sharmonizowaniem. Życie jest najwyższą potęgą w jego twórczości. „Das Leben ist die Hauptsache“ mówi on w powieści „Das dritte Reich,“ będącej jednym z najgłębszych utworów literatury współczesnej. Jako artysta wyróżnia się Schlaf dziwną subtelnością wśród licznej rzeszy literatów niemieckich. To, co on pisze, nie jest wytworem suchej myśli, lecz ma swoje źródło w uczuciu, stanowiącem organiczną całość z myślą. Uchwycił on nieuchwytne dotąd nastroje i wrażenia, oddał ciche szmery, które u przeciętnego człowieka mrą przy samem narodzeniu się: formę zewnętrzną ma własną, ściśle kosenkwentną z jego całokształtem duchowym.

Ten całokształt harmonizuje w jedną całość wiara w życie. Dzisiaj ludzie rzadko łamią się, jak dęby pod naporem wichru; częściej rozpryskują się, gną, jako źdźbła słomy, i są dziwnie mali, dziwnie wątli. Ciągła mgła zakrywa słońce, nadaje twarzy trwożny wygląd, wygryza zdolność patrzenia na dalekie słońce, budząc jednocześnie niezwykłą odczuwalność na najbliższe przedmioty. Treść kultury przedostaje się w dusze jednostek, jako coś spłowiałego, zbladłego. Człowiek nie traci wiecznego głodu pytań, tylko współczesne życie czyni pożądanie odpowiedzi coraz to rozpaczliwszem. Tamy, jakie spotyka dziś myśl ludzka, to nie są dawne, silne warownie, utrzymujące ją w granicach prawa bożego lub ludzkiego, przeszkody, stawiane przez chwilę obecną — to szereg kałuż, o które się potyka każdy, co chce iść przed siebie; to drobny, lecz ciągły deszcz, kapiący zwolna — kropla za kroplę; to szereg drobnych ukłuć, niewidzialnych szyderstw. Wśród ogólnego omdlenia, niedostrojenia się do potrzeb ducha jest Schlaf obrazem przyszłego kształtowania się energii. Ma on w sobie tę nową siłę, która inną jest, niż wszystkie poprzednie. To już nie brutalne napięcie wypadkowo nagromadzonej mocy mięśni, a świadome oparcie się na własnem „ja,“ rozwój całokształtu duchowego daleko po za krańce dotychczasowe, wysubtelnienie odczuwalności, zrozumienie siebie samego i wzrok śmiało rzucony w tajniki bytu.

Ta koncepcya nowej siły przechodzi przez całą twórczość Schlafa, mówiąc wiele o duszy i talencie artysty.

Dzieła poety nie są wyłącznym czynem jego twórczej zdolności, są one też przejawem jego ogólnie ludzkiej indywidualności. Talent to dar wypowiedzenia się, nadanie wewnętrznej swej treści istnienia niezależnego, talent — to potęga odtwórcza. Niejeden jest wielkim twórcą sam w sobie; duch jego wędruje po krainach własnych, tworzy bezbrzeżne światy, barwi je w przecudne kolory, lecz na zewnątrz — dla całokształtu wspólnego życia ludzkości jest niemy, usta jego tylko bełkoczą. Talent daje środki powiedzenia innym swego słowa, budowania nieśmiertelności po za ludzką jednostką, niezależnie od czasu i przestrzeni. Twórczość artysty to treść trudu ducha ludzkiego, ubrana w płaszcz królewski talentu.

Schlaf kulturą i potęgą swojej indywidualności stoi na wysokości swego talentu. Pomimo wysubtelnienia, wydelikacenia odczuwalności, pomimo, że ma w sobie przemożne skarby fantazyi, nie cofnął się on w głąb własną, nie zatracił chęci patrzenia i w bieg zewnętrznego istnienia. Wszechświat cały, którego cząstką drobną a potężną są ludzie, w oczach jego jest wiecznym ruchem; zanikanie i narodzanie się pojedyńczych jednostek ginie w całości, stanowi drobne etapy, któremi dąży ogólne istnienie.

Istnienie indywidualne podlega wznoszeniu się i opadaniu, to falowanie ściśle jest związana z powyższem zrozumieniem treści bytu. Gdy siły życiowe w duszy wzbierają, przestaje człowiek być szarym, przeciętnym przechodniem życia, wszystkie inne głosy milkną w nim, tylko głos nieśmiertelnego wszechżycia rośnie i śpiewa hymn potężny, radosny. — Gdy siła ducha opada, tony pieśni zanikają — pozostaje mały punkt bez woli i zdolności do wytrwania—zdenerwowany, wypalony, oklapły dekadent. Po upływie fal wszechistnienia tworzy się straszna pustka i tęsknota za tem, co uleciało. Aż znowu następuje przypływ. Tak siła wszechistnienia wiedzie bój z siłą istnienia indywidualnego — w walce tej większa potęga zwycięża. Schlaf nie jest zmęczonym, powalonym przez życie, nie jest ostatnim synem ginącego rodu, co szuka spokoju, odpoczynku, zapomnienia. Nie — on tęskni, wyciąga ramiona ku nieskończoności i — przestępuje jej próg: Emanuel Liesegang pozbawia się życia;

nie jest to ucieczka, lecz zwycięztwo siły wszechistnienia, rozrywającej skorupę...

Przypomnijmy sobie choć jeden z tych pełnych cudownego piękna obrazów nadpływania fal wszechbytu: Liesegang wrócił późno do domu — nad ranem. Stanął w oknie — i patrzał przed siebie. „Wspaniały obraz nieba ciągnął go ku sobie; patrzał on na grę rodzących się barw, na zwycięzki blask — zwiastunek dnia... Głębokie westchnienie zdjęło mu z piersi ciężar, wdumał się swobodnym umysłem w ten blask daleki — daleki — między te majestatyczne obłoki, delikatnie rozjaśnione powstającem światłem zorzy — dalekie — wolne krainy — tam - - po za...“ (das dritte Reich)...

O stosunku Schlafa do współczesnej doby można powiedzieć: nietylko wszystko on wie, lecz i wszystko czuje. Duchem wzniósł on się na sam szczyt swego czasu i dotarł tam, dokąd drobnym kroczkiem dążąca ludzkość nieprędko dojdzie. Pragnienia i pożądania doby znalazły w nim swój wyraz — wypięknione, wyczulone. Silnie nań podziałał głos poprzednika naszych dni — Nietzschego. Bój samotnika-myśliciela znalazł swój dźwięk na harfie duszy Johannesa i wypowiedział on słowo „następne“ w okrzyku: „Sei hart, sei — Ueber-mensch“; jego pojęcie tego hasła jest w zupełnem przeciwieństwie do zwykłych komentarzy. Czuł on „niezbędność wyczekiwania nowej, psychofizycznej komplikacyi,“ polegającej na istotnym i zgodnym z przyrodą „egoizmie.“ Egoizm ten to etyczny, intelektualno-estetyczny i możliwie fizyczny rozwój jednostki“ (Das d. Reich).

Oryginalną intensywnością Schlafa jest obejmowanie zewnętrznych faktów całokształtem myśli; duch jego nie jest ślepy ani głuchy na wszelki szept, idący z ziemi— z najniższej, najmroczniejszej ziemi.

Wśród całego oceanu wewnętrznych stanów i wewnętrznych wypadków w duszy współczesnego człowieka wzmaga się jedno wielkie wołanie, które łączy w sobie całość bied i niedoli najróżnorodniejszych. Coraz to głośniej, coraz namiętniej współcześni łakną zmiany, usunięcia obecnych form życia i narodzin przyszłego człowieka. Tęsknota ta nie skrystalizowała się w jedno ujęcie, lecz pozostaje w stadyum nieokreślonego marzenia. Schlaf wydobył ze swej duszy silny dźwięk tego głodu. Dążenie do stania się coraz subtelniejszym, inteligentniejszym, bardziej zróżnicowanym, uważa za zadanie współczesnej epoki.

W chwilach zwątpienia przed oczyma jego roztacza się obraz kultury — zdobyczy dodzisiejszej, ogrom jej i małość wysiłku jednostki wywołuje chwilowe wahanie. „Człowiek jest już tak starym, tak zupełnym, tak wyrównanym — wszystko już było, wszystko się już wypełniło.“ Instynkt jednak wszechistnienia zawsze przemoże napadającą czerń ponurych i drapieżnych wątpień, rodzących się z tego, co oczy widzą i uszy słyszą. Mózg tylko, ta sucha myśl, ujmująca wszystko w rozumowanie i argumenty, wyodrębnia się z całokształtu jaźni ludzkiej i powstaje rozłam. W mózgu przesuwają się różne łączenia wrażeń, pozostawiając na stronie uczuciowe pola duszy, nieznające świadomości ni logiki, a tworzące treść dla pracy mózgu. Rezultat tych myśli powstaje i ginie, nie wchodząc w głąb duszy. „Wszelkie wyrzuty sumienia, wszelkie te rodzące się starcia nie sięgają w głąb uczucia. Pozostają w obrębie chłodnej refleksyi pewien przeciąg czasu, jak gra logiczna myśli, aby gdy staną się zbyt uciążliwemi, bez wielkiego trudu zostać odsunięte na stronę“ (Suchenden). Stan ten przechodzi w nałóg, który boli i męczy. „Konnte ich das Räsonnieren loswerden“ (d. d. Reich). W słowach tych ujęte jest jedno z głębszych westchnień współczesnego człowieka. Myśl często dziś zabija czyn i osłabia energię życiową...

Psychologia artystyczna Schlafa nie ogranicza się tylko do indywidualnej głębi własnej; z drugiej strony zjawiska, powstające przy wzajemnem ścieraniu się ludzi, „postępki,“ będące w obrębie kategoryi dobra i zła, nie są dla niego oddzielną sferą, samą w sobie; po za nimi widzi on nici, wiążące je z całokształtem duchowym.

Jeden z krytyków niemieckich podkreślił w indywidualności Schlafa dążenia monistyczne. Pogląd zupełnie słuszny, nie należy tylko zapominać o panteizmie tego monizmu. Panteistyczny monizm — w te słowa można ująć całość jego trudu myślowego. „Wędrownikiem — mówi on — jest życie organiczne. Każde narodziny szeregu istnień są tylko krokiem ku jego niebiańskiemu celowi — słońcu“ (D. dr. Reich). Potężne myśli o jedności bytu zawiera też krótkie opowiadanie: „Volksversammlung.“

Poznanie głębin bytu daje twórcy wielką siłę. „Mam teraz wzrok nad wzroki: kędy jest zgroza, kędy ból, którego przemódz przy jego pomocy nie zdołam.“ Tajemnica bytu to identyczność. „Wszystko, co istnieje, to jest — ty i ja, a ty i ja — to jedno wielkie Ja... Ja wiecznie w sobie istniejące, przeze mnie, czerwia, istniejące Ja.“ (Pierrot). W pojęciu „Ja“ znajduje on cały wszechświat istniejący i wszechświat spodziewany. „Cudne królestwo boże istnieje we mnie wśród kwiatów, słonecznych niw i gwiazd, wśród przedziwnych namiętności ludzkich, wśród ich walk i ich wiekuistej tęsknoty. Królestwo boże w niezmierzonej szerokości, przy jasnych sklepieniach niebios i horyzontów, wśród tajemniczych, nieznanych uczuć, które sięgały po nieuchwytne...“ „Wśród tego ta trywialna nędza wciska w fantazye moje tysiące głupich pytań“ (Sommerlied). Ta „trywialna nędza“ wprowadza ostry dysonans w harmonię powszechną.

Schlaf głęboko pojął psychikę „krzywdy.“ Nic nie może być wspanialszego nad krótkie opowiadanie w zbiorze „Frühjahrsblumen“ p. t. „Gerechtigkeit.“ (Zamierającemu z głodu, bez nadziei zdobycia najmarniejszego kawałka chleba, przychodzi nagle myśl — „Sprawiedliwość *) — ręce jego kurczą się i szczęki zgrzytają. Napięcie wewnętrznego dramatu bez przeciętnych, polemicznych wycieczek dochodzi do najwyższego stopnia). Ta „trywialna nędza,“ te ciemne plamy wewnętrznego, czy zewnętrznego istnienia artysty stanowią w twórczości jego dysonans. Lecz dusza poety nie pada pod ciężarem rozdźwięków. Dysonans, to tylko część składowa ogólnej harmonii, rozterki łączą się w jedną wielką wiarę. Jest on głębokim optymistą, ma ufność dziecięcą w wielkie „Ja,“ łączące wszelkie drobne istnienia w jedno wielkie, nieśmiertelne Wszechistnienie, a Wszechistnienie to „światło — wszędy światło — jasne — jasne światło“ (Sommertod.“

Zbigniew Brodzki.

*) *Prawda*, nr. 34 i 35 z r. 1901.

NOWE KSIĄŻKI.

— Janina Mortkowiczowa: **O wychowaniu estetycznem.** Warszawa, 1904. G. Centnerszwer i Sp., str. 74.

Ideałem wychowania nowoczesnego jest równomierny rozwój wszystkich uzdolnień dziecka, w celu osiągnięcia harmonijnego całokształtu człowieka. W imię tego ideału żądamy rozwijania i kształcenia w dzieciach wrodzonego poczucia estetycznego obok strony moralnej i umysłowej. W tych słowach mniej więcej streszcza się myśl przewodnia dziełka, w którem autorka wykazuje, jak dalekim jest dzisiejszy system wychowawczy od harmonijnego rozwijania wszystkich uzdolnień człowieka.

Dziecko, jak wiadomo, przynosi na świat pewną ilość popędów estetycznych, które ulegają spaczeniu lub zupełnemu stłumieniu wskutek wadliwego wychowania. A ludzie bez kultury estetycznej nie mogą osiągnąć pełni szczęścia, gdyż jednym z jego warunków będzie zawsze zdolność odczuwania wrażeń we wszelkich kierunkach. Człowiek, niewrażliwy na piękno przyrody i sztuki, pozbawiony jest w życiu ogromnej sumy rozkoszy; uczynić życie pełniejszem— oto zadanie kultury estetycznej.

„Wyrabianie w sobie uczucia piękna (uczucia estetycznego) zarówno w przyrodzie, jak w społeczeństwie i jego wytworach, instytucyach i sztukach—mówi w jednem z dzieł swoich Chmielowski — jest cennym środkiem doskonalenia uczuciowości.“ A rozwinięte i uzacnione uczucie, chociaż na pozór wydaje się mało przydatnem do zwiększenia zasobu naszej wiedzy, jest jednakże źródłem wszystkiego, co szlachetne, wzniosłe i wielkie. „Wielkie myśli pochodzą z serca,“ jak słusznie zauważył Vauvenargues.

Autorka nawołuje do reformy pedagogiczno-estetycznej, której zadaniem ma być przygotowanie dzieci do odczuwania piękna w naturze i sztuce, uzdolnienie ich do odbierania wrażeń estetycznych.

W Niemczech zajęto się tą sprawą energicznie, w Hamburgu np. zawiązane zostało stowarzyszenie nauczycielskie, w celu szerzenia wychowania estetycznego; rozwinęło już ono ożywioną działalność praktyczną. W roku 1901 odbył się w Dreznie kongres, poświęcony zagadnieniom wychowania estetycznego. W r. b. ma się odbyć kongres w Wejmarze w celu omówienia kwestyi literatury i muzyki ze stanowiska nowych zadań wychowawczych.

W dalszym ciągu pracy znajdujemy pewne wskazówki praktyczne, jak rozwijać w dzieciach tak pożądane poczucie piękna. Należy więc, zdaniem autorki, zwracać umiejętnie uwagę dzieci na wiecznie piękną przyrodę, ułatwić im obcowanie z nią; pozwolić w samodzielnych grach i zabawach rozwijać wrodzoną fantazyę, nie krępować twórczości. Rysunki, lecz nie te, które dzisiaj bywają stosowane, powinny być pierwszym przedmiotem nauczania, jak również i modelowanie z gliny. Autorka zaleca, aby rodzice i wychowawcy starali się o bardziej estetyczne otoczenie dla dzieci w domu i w szkole. I pod tym względem, dodajmy, jak zresztą w całym systemacie wychowania, reformę należałoby rozpocząć rodzicom i nauczycielom od siebie samych.

M. B.

Z PRASY.

— Z powodu Najwyższego pozwolenia na drukowanie książek litewskich w państwie rosyjskiem czcionkami łacińskiemi, pisma nasze przytaczają artykuł *Wilensk. Wiestnika*, napisany w tej sprawie:

„Dnia 24 kwietnia (7 maja) r. b. nastąpiło Najwyższe zatwierdzenie uchwały komitetu ministrów, zgodnie z którą rozkazano, „uchylając wszystkie wydane dawniej ograniczające postanowienia i rozporządzenia rządowe w stosunku do piśmiennictwa litewskiego i żmujdzkiego, zezwolić na używanie w jego utworach, oprócz rosyjskiego również łacińskiego lub innego alfabetu.“

Tym sposobem zgodnie z tem prawem miłościwem uchylony zostaje, ciążący od lat czterdziestu nad językiem litewskim, zakaz drukowania utworów piśmiennictwa litewskiego czcionkami łacińsko-litewskiemi.

Wystąpiwszy późno na arenę historyi europejskiej, Litwini, uzbrojeni słabymi zawiązkami kultury, poddawali się wpływom sąsiadów

rosyjskich, niemieckich i polskich. W tych warunkach życie plemienia litewskiego, jako narodu, było niemożliwem. Litwa w znacznej swej części przypadła w udziale państwu rosyjskiemu. Niepowodzenia historyczne tego ostatniego dały czasową przewagę Polsce. Po jej upadku prawie całe terytoryum litewskie połączone zostało z Rosyą. W obecnym czasie zaledwie stosunkowo nieznaczna część Litwinów (około 500,000) zamieszkuje Prusy, rdzenna zaś masa narodu litewskiego (przeszło 2 miliony) jest w poddaństwie rosyjskiem.

Ogólne dążenie do wykształcenia, jakie ogarnęło Europę w XVI wieku, nie pozostało bez wpływu i na naród litewski. Jak w wielu innych miejscowościach, i na Litwie zjawiają się w tym czasie działacze narodowi. Kładą oni fundamenty rozwoju literatury litewskiej. W r. 1547 ukazuje się pierwsza książka litewska. Za nią idą inne, tak że w początkach XVII wieku liczono już co najmniej 17 książek litewskich. W następnem pięćdziesięcioleciu ukazało się znowu 18; do początku XVIII w. jeszcze 16. W ciągu pierwszej połowy XVIII wieku wydano 28 książek litewskich, a w drugiej – z górą 60. Tak powolny aż do XIX w. rozwój wydawnictw litewskich i, co za tem idzie, piśmiennictwa, objaśnić można tymi ciężkimi warunkami, w jakich się one znajdowały. Książki litewskie podlegały surowym prześladowaniom od chwili ukazania się ich w XVI wieku. W czasach tych książki były konfiskowane i niszczone. Kto zajmował się tem niszczeniem — niewiadomo. Można jednak przypuszczać, opierając się na przykładach innych miejscowości Europy, że głównymi prześladowcami książek litewskich było duchowieństwo rzymsko-katolickie. Zmuszała ich do tego obawa, aby w razie rozwoju narodowej literatury litewskiej nie zachwiał się na Litwie gmach kościoła katolickiego na rzecz protestantyzmu.

Książki litewskie od czasu powstania piśmiennictwa w połowie XVI w. drukowane były tylko literami łacińskiemi, niekiedy w kształcie gotyckim. Jednakże już w XVI w. literaci litewscy przekonali się, że alfabet łaciński nie jest w stanie odtworzyć charakterystycznych dźwięków litewskich. To też Litwini, przystosowując wspomniany alfabet do osobliwości języka ojczystego, opracowali swój własny alfabet, który słusznie nazwać należy łacińsko-litewskim.

Powyżej zaznaczyliśmy, że literatura litewska rozwijała się aż do XIX w. aczkolwiek wytrwale, ale powoli. W ostatniem stuleciu sprawa wydawnictw książek litewskich zmieniła się gruntownie: w ciągu pierwszej połowy XIX w. wydanych zostało blizko 200 książek litewskich, a podczas drugiej — około 1,000. W końcu pierwszej połowy tego stulecia zaczęły ukazywać się wydawnictwa peryodyczne, których ogólna liczba przewyższa obecnie trzydzieści.

Od XVI w. do drugiej połowy XIX ogromna większość książek litewskich drukowała się na terytoryum obecnych posiadłości rosyjskich. Aczkolwiek już w pierwszym okresie rozwoju wydawnictw literackich część ich wychodziła w Królewcu i Tylży, jednak środowiskiem wydawniczem od najdawniejszych czasów było Wilno. Po za Wilnem książki litewskie wychodziły również w Kiejdanach, Supraślu, Dźwińsku, Suwałkach, a także w Rydze i Mitawie.

Od r. 1864 zaczął się szereg zakazów drukowania książek litewskich czcionkami łacińskiemi, które zastąpione być miały czcionkami rosyjskiemi. Bezpośrednim skutkiem tych rozporządzeń było to, że wydawnictwa książek litewskich przeniosły się na zachód, za granice naszego państwa: do Tylży, Kłajpedy, Biten i Prekuln w Prusiech wschodnich.

Obecnie po zniesieniu zakazów i udzieleniu pozwolenia na drukowanie książek litewskich czcionkami dowolnemi rozwinie się niezawodnie ruch wydawniczy, litewski w Rosyi, a zwłaszcza w jej kraju Północno-Zachodnim. Należy się spodziewać, że Litwini potrafią godnie ocenić okazaną im Najwyższą łaskę i zaufanie i zabiorą się do wydawnictwa książek z tą pracowitością i rozwagą, jakie niezbędne są w sprawie tak ważnej, jak wypuszczenie w świat książki, przenikającej nieraz głęboko, aż do najrdzenniejszych mas narodu. Działacze narodowości litewskiej powinni zdawać sobie sprawę, że rząd, nadając im prawo korzystania z druków ojczystych, jako środka kształcenia i rozwoju narodu, będzie od nich wymagał, aby to kształcenie i rozwój odbywało się w zupełnej łączności z ogólnymi interesami państwowymi dla dobra samej narodowości litewskiej."

— W 21 nr. *Niwy Polskiej* ks. W. Kirchner w artykule naczelnym taki kreśli obraz ruchu społecznego:

„Młody, dumny, niecierpliwy, o piersi szerokiej, rozłożystej, jako obszary stepu," włosy ma „rozwichrzone" (nigdy się pewnie nie czesze), twarz „smutną," oczy „rozpaczne, błędne, ramiona jarzmem pracy nad siły zdarte i zmordowane," w sobie czuje „ogień wulkanu wszystkich w jedną duszę społeczną zogniskowanych płomiennych żądz *życia i użycia*, dreszcze twórczych bólów... porywy górskich potoków, co lecą gdzie chcą..." Urwis ten „porzucił matkę, która go wychowała i serce w piersi mu włożyła — *zerwał z filantropią*." I zaraz naturalnie „stwardniało jego serce, stało się szorstkiem i zimnem." Zaczął samodzielną wędrówkę po różnych pokładach życia ludzkiego, „schodził coraz niżej, *ohyda prostytutek wypaliła mu bezwstydem czoło, zaraził się zdziczeniem złodziei, rozbojników*, stracił w rękach, myślach i czuciu zdolność do pracy i powolnego budowania — opanowała go bezwładność włóczęgów... Coraz mniej kochał, bo był chory chorobą wieków... nie mógł ścierpieć obok siebie miłości i litości, plwał na nie, wymyślał... *wstąpiła weń wszystka zbójeckość i wszelkie złodziejstwo, wszelka gadzina, co pełza po ziemi*." Twarz jego stała się „trupio-blada," oczy „zielonemi i krwawemi," z ust „*buchał ogień i lała się trucizna*," włosy przemieniły się „w żmije, które syczące złowrogo, kłębiły się nad jego głową." Żywił się ten potępieniec „własną, zgangrenowaną krwią i zgryzotą... *poruszał się na to tylko, aby niszczyć i burzyć... męczył się skurczami buntów i nienawiści, niósł mord i pożogę na ludzi*." Filantropia przerażona postanowiła się „uspołecznić," wdziała biret doktorski i poczęła tworzyć systematy, zakładać szkoły — wszystko w nadziei, że zbrodniarz, który nią wzgardził, znowu kornie u nóg jej się położy. A on – możemy zapewnić ks. Kirchnera — ma dość „jej miękich pieszczot, jej łask i słodyczy." Cierpieć ją będzie jako przeżytek, do czasu, ale postanawia wszystkie siły wytężyć, aby zdobyć takie warunki istnienia, w jakich dla najbardziej uspołecznionej i najdoskonalej usystematyzowanej filantropii nie będzie już miejsca. Bo filantropia pozostanie tylko leczeniem choroby, a w życiu, zarówno społeczeństw, jak jednostek, powinno chodzić głównie o zapobieganie chorobom przez hygienę. Szczęście społeczeństwa musi wynikać z jego zdrowej, prawidłowej organizacyi, a nie z miłosierdzia jego jednostek.

Po zatem nad wartością obrazu nakreślonego przez ks. Kirchnera, przechodzimy do porządku dziennego... Radzimy mu tylko, aby zawsze przed napisaniem artykułu zażył czegoś dla uspokojenia swej rozhukanej, „jak obszary stepu rozłożystej, ogniem wulkanu buchającej i chorobą wieku chorej" wyobraźni.

— „Niema sezonu, niema prawie miesiąca — pisze p. Sygietyński w jednym z ostatnich numerów *Gońca* — w którymby nie odbywało się jakieś przedstawienie benefisowe, bądź na śpiewaka, czy śpiewaczkę w operze lub w operetce, bądź na aktora czy aktorkę w dramacie lub komedyi.

Benefis, to rodzaj jałmużny publicznej, przechodzącej przez kasę teatru, który na tę chwilę staje się instytucyą dobroczynną.

I któż to staje u wrót tej instytucyi dobroczynnej? Czy może chórzyści, przymierający głodem przez rok cały, czy może członkowie orkiestry, pędzący nędzny żywot wyrobników z dnia na dzień, czy może soliści drugorzędni, których pensya roczna wynosi tyle, ile śpiewakowi czy śpiewaczce pierwszorzędnej przynosi honoraryum za jeden wieczór? Bynajmniej. Benefisanci teatrów warszawskich, to gwiazdy opery, dramatu, komedyi i operetki... Tysiąc, dwa tysiące rubli, to minimum czystego ich dochodu, jeśli reklama urządzona była zręcznie.

Nie wiem, czy w roku bieżącym odbędzie się przedstawienie benefisowe na rzecz chórzystów i sił drugorzędnych naszych teatrów—to wiem jednak, iż w danym razie, albo odbędzie się w warunkach zgoła nieprzyjaznych, albo też, jak zwykle, spotka się z obojętnością szerszych warstw społeczeństwa, któremu reporterzy nie będą umieli, czy chcieli polecić gorąco sprawy... wydziedziczonych w sztuce, a jedynie zasługujących na wsparcie pod formą benefisu."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Russkij invalid* donosi, że ochotnikom i wybranym do oddziałów ochotniczych na Sachalinie udzielono między innemi ulg następujących: zesłanym do robót ciężkich termin pozostały będzie skrócony przez policzenie dwóch miesięcy służby w oddziale ochotniczym za rok ciężkich robót, a ci, którzy wezmą udział w bitwach, będą prócz tego przeniesieni do kategoryi zesłańców na osiedlenie. Aresztantom z oddziałów poprawczych liczone będą cztery miesiące za rok, zesłanym na osiedlenie — miesiąc za cztery. Włościanom z pośród zesłańców pozwolone będzie wybrać sobie miejsce zamieszkiwania w całem Cesarstwie, z wyjątkiem stolic i gubernij stołecznych.

— Lekarzom, należącym do zapasu armii, wstrzymano wydawanie paszportów zagranicznych.

— Według opracowanego projektu, uproszczona ma być formalistyka w przyjmowaniu cudzoziemców do poddaństwa rosyjskiego. Natomiast przedłużony [illegible]

— *Diło* donosi, że starostwo w Kossowie rozwiązało 14 stowarzyszeń „Siczy" jako ogniska rusińskie prowokacyi antipolskiej.

— Do *Nov. Wr.* donoszą z Rygi, że Niemcy nadbałtyccy w walce z Łotyszami domagają się używania na zebraniach publicznych języka rosyjskiego, jako międzynarodowego.

— Na walnem zebraniu związku ewangelickiego [illegible] przez popieranie żywiołu ewangelickiego wzmocnić niemczyznę na kresach wschodnich.

— Rada m. Insbrucku wydała następującą uchwałę: „Ze względu na walkę Słowian z Niemcami żadnemu artyście słowiańskiemu, choćby najznakomitszemu, nie udzieli się na przyszłość sali rady miejskiej na koncerty."

— P. Janko, mieszkaniec Pyszczynka pod Gnieznem skazany został na 165 marek kary za to, że nie poddał się rozporządzeniu władzy regencyjnej i nie zmienił nazwiska swego na Janke. W Mogilnie policya zabrała znak z piekarni Bronisława Gajewskiego i kazała na jego koszt przemalować na „Bronislaus."

— Senat wyjaśnił, że Żydzi, w granicach ich osiadłości, mają prawo nabywania nieruchomości w miejscowościach noszących miano miasteczek a posiadających zarząd wiejski.

Szkoły i wychowanie. Od dnia 13 do 22 czerwca Tow. pszczelniczo-ogrodnicze urządza 10 dniowe kursy dla ogrodników i pszczelarzy, obejmujące zasadnicze wiadomości z sadownictwa, warzywnictwa, kwiaciarstwa i hodowli pszczół. Opłata 10 rb. Zapisy przyjmuje kancelarya Towarzystwa, ul. Wiejska nr. 12.

— W roku przyszłym w warszawskim instytucie weterynaryjnym liczba słuchaczów powiększona będzie do 250.

Wiadomości naukowe. Skutkiem wypadków wschodnich odwołano zjazd historyków i filologów słowiańskich w Petersburgu.

— Akademia umiejętności w Krakowie ogłasza dwa stypendya dla osób pracujących naukowo, które za-

mierzają wyjechać za granicę dla uzupełnienia studyów. Pierwsze z nich, im. Śniadeckich z fundacyi Seweryna Gałęzowskiego, w kwocie 5,000 fr. i drugie im. Zenona Pileckiego w kwocie 2,400 koron dla kandydatów poświęcających się naukom matematyczno-przyrodniczym. Termin wnoszenia podań 15 czerwca 1904 r.

— Zapowiedziany w roku bieżącym zjazd chirurgów polskich w Krakowie został zaniechany z powodu niemożności wzięcia w nim udziału lekarzy z Królestwa Polskiego.

— Dr. Joteykówna, kierowniczka oddziału psychologicznego w uniwersytecie brukselskim, mianowana została wiceprzewodniczącą belgijskiego Tow. neurologicznego.

Zdrowie publiczne. W początku przyszłego miesiąca rozpoczną doroczny objazd oddziały okulistyczne. Marszruta obejmuje Janów, Brzeziny (gub. Piotrkowska), Siedlce i Opoczno.

— Aden, Port-Said w Egipcie i Port-Linge w zatoce Perskiej, ogłoszono jako zadżumione.

Ze sztuki. Z inicyatywy p. Stanisława Witkiewicza otworzona została w Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie historyczna wystawa rozwoju krajobrazu od końca XIV w. do czasów obecnych, obejmująca reprodukcye ze zbiorów prof. Józefa Siedleckiego.

— Zarząd Koła artystek polskich w Krakowie zawiadamia, że termin konkursu na wzory do haftów, tkania, malowań ściennych i afiszów przedłużony został do pierwszych dni czerwca.

— W *Gaz. Pols.* czytamy: Komitet budowy pomnika Mickiewicza we Lwowie wydał odezwę do kobiet, zachęcając do składania ofiar na odlew geniusza wręczającego poecie lirę. Komitet sądzi, że kiedy młodzież mogła ufundować odlew Znicza, a rękodzielnicy tarczę herbową, to kobiety również powinny przyczynić się ofiarą powszechną.

Literatura i prasa. Założona w roku 1899 szkoła dziennikarzy w Paryżu, posiadająca początkowo do dwustu uczniów, przestaje istnieć z powodu braku słuchaczów.

Poczta. Z dniem 1 (14) lipca będzie ustanowiona nowa taksa dla przesyłek, wysyłanych wewnątrz państwa: 1) cała przestrzeń państwa co do taksy podzielona jest na trzy okręgi: do pierwszego należy Rosya europejska wraz z krajem zakaukaskim; okrąg drugi obejmuje Syberyę zachodnią, kraj turkestański, oraz obwody zakaspijski i turgajski; do okręgu trzeciego ma należeć Syberya wschodnia (gub. Jenisejska i Irkucka, oraz obwody: Jakucki, Amurski, Zabajkalski i Przymorski z wyspą Sachalin). Do okręgu tego są również zaliczone zarządy pocztowe w obwodzie Kwantuńskim i w Mandżuryi; 2) Pod względem wagi wszystkie przesyłki podzielono na cztery kategorye. Do pierwszej zaliczono przesyłki ważące nie więcej nad 2 funty, do drugiej od 2 do 7 funtów, do trzeciej od 7 do 12 funtów, do czwartej ponad 12 funtów. Przesyłki pierwszych trzech kategoryj uważane są za przesyłki wagi drobnej i za każdą z nich pobierana będzie opłata specyalna, zupełnie niezależna od wagi poszczególnej przesyłki. Za przesyłki czwartej kategoryi, oprócz taksy ustanowionej dla przesyłek 12-funtowych, pobierana będzie oddzielna opłata wagowa za każdy funt lub jego część ponad 12 funtów. Opłaty wagowe, jakie pobierane będą na zasadzie przepisów obecnych, są następujące: Za przesyłki pierwszej kategoryi (do 2 fun.) w okręgu pierwszym kop. 25 w drugim kop. 35, w trzecim kop. 45, między okręgami sąsiednimi kop. 45, między okręgami niesąsiednimi kok. 65. Za przesyłki kategoryi drugiej (od 2 do 7 f.) taksa jest następująca: I okrąg kop. 45, II kop. 65 III kop. 85, w okręgu sąsiednim kop 85 i w okręgu niesąsiednim rb. 1 kop. 25. Przesyłki kategoryi trzeciej (od 7 do 12 fun.) I okrąg kop. 65, II kop. 95, III rb. 1 kop. 25, między okręgami sąsiednimi rb. 1 kob. 25, między niesąsiednimi rb. 1 kop. 85. Wreszcie na kategorye czwartą obowiązuje taksa następująca: za każdy funt lub jego część ponad 12 w okręgu I kop. 5, w II kop. 10 w trzecim kop. 15, między okręgami sąsiednimi kop. 15, między niesąsiednimi kop. 20; 3) pobierana obecnie opłata 5-kopiejkowa za kwity będzie zniesiona; 4) przepisy te stosują się również do worków, z monetą brzęczącą

Sprawy ekonomiczne. W celu podniesienia drobnego przemysłu, włościańskiego pozwolono sprowadzać bez cła żelazo, stal, maszyny i narzędzia pomocnicze. Z ulgi tej korzystać mogą ziemstwa, towarzystwa i instytucye rolnicze.

— Na Karczówce, pod Kielcami, przeprowadzono pomyślne badania nad znajdującą się tam rudą ołowianą.

— Zatwierdzono ustawę Tow. oszczędnościowo-pożyczkowego w Kałuszynie, gub. Warszawskiej.

Katastrofy. W miasteczku Delatynie, na Pokuciu, spaliło się 200 domów — 500 rodzin pozostało bez [illegible]

— W południowej Kochinchinie trąba powietrzna zniszczyła miasto Mythor; ofiary w ludziach obliczają na 2,000.

Zmarli. Dr. Leon Nencki.

— Szymon Krzeczkowski, opiekun sierot, członek War. Tow. Dobroczynności, któremu za życia jeszcze ofiarował całe swe mienie, gorliwie służąc sprawie biednych i opuszczonych. W Warszawie, w wieku lat 84.

— Stefan Juliusz Marey, fizyolog, profesor historyi naturalnej w College de France, dziekan sekcyi medycznej i chirurgii w Akademii nauk, oraz sekcyi anatomii i fizyologii w Akademii medycznej, w Pa[illegible]

— Ottokar Lorenz, historyk niemiecki, profesor uniwersytetu, w Jenie.

— Eugeniusz Kumiczić, współczesny pisarz chorwacki, w Zagrzebiu.

— Gabryel Tarde, socyolog, profesor w College de France.

OGŁOSZENIA.

Pamiętnik NAGIEJ PRAWDY.

Wraz z całem społeczeństwem i my rozmyślaliśmy nad wynalezieniem zarobku bezczynnym tłumom. Niestety, dla niedoli biednych, zwyczajnych najmitów nie mamy żadnej ulgi, natomiast ogłaszamy z głęboką radością, że udało nam się odkryć ogromne pole pracy dla kandydatów wyższego rzędu, którzy poszukują *posad*. Mianowicie z wywiadów otrzymaliśmy nadzwyczaj liczne zaofiarowanie miejsc dobrze płatnych, które mogą być natychmiast zajęte pod następującymi warunkami.

1) Kilkuset rządców folwarcznych, którzy nie uwodzą dziewczyn wiejskich i żon parobków; nie wynagradzają ich za bańbę darami ze spichrza i obory właściciela, nie okradają go w zmowie z nabywcami zboża i wełny, nie rujnują niedozorem w robotach polnych, nie oszukują przy obliczaniu najmu itd.

2) Kilkuset subjektów kupieckich, którzy nie przywłaszczają sobie pieniędzy ze sprzedaży, nie wynoszą tajemnie towarów ze sklepu i nie medytują, jakim by sposobem zetknąć kasę pryncypała z kasą totalizatora.

3) Dwudziestu dziennikarzów, którzy znają dobrze gramatykę i stylistykę, piszą o tem tylko, co rozumieją, swoich prywatnych rachunków w prasie nie załatwiają i nie pytają ani wydawców, ani czytelników, jakie powinni mieć przeko[illegible]

4) Kilkuset kasjerów, którzy nie męczą się nad rozwiązaniem trudnego zadania: jakim fortelem cudze pieniądze uczynić swojemi bez popełnienia kradzieży i którzy nie sądzą, że pobierając 3,000 rb. pensyi, „muszą,“ wydawać 5,000 rb.

5) Kilkuset proboszczów, którzy nie załatwiają na ambonie swoich spraw osobistych.

6) Kilkuset agentów handlowych, którzy wysłani dla zdobycia rynków zbytu towarów swej firmy nie popsują jej interesów, przekupieni przez fabrykę współzawodniczącą.

7) Kilka tysięcy specjalistów w różnych gałęziach przemysłu, którzy je rzeczywiście zbadali i, podjąwszy się wyrabiać perkaliki, nie wytężają swych sił na wylegitymowanie się ze szlachectwa.

Oprócz tych wakują jeszcze inne posady, które od wielu lat są niezajęte i które otrzymać można zaraz bez żadnych starań po złożeniu tylko *dostatecznej* rękojmi spełnienia zastrzeżonych warunków. Jesteśmy głęboko przekonani, że liczba tych miejsc o wiele przerasta liczbę odpowiednich kandydatów, czyli że nam w sferach wyższych ponad zwyczajny najem dokucza brak ludzi a nie brak pracy. Pewien ziemianin napisał na karnecie balowym swej sąsiadki następujący aforyzm: „Ubóstwiam cię, pani dobrodziejko, ale przeniósłbym ponad ciebie dobrego ekonoma.

[illegible]

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 13 Мая 904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8